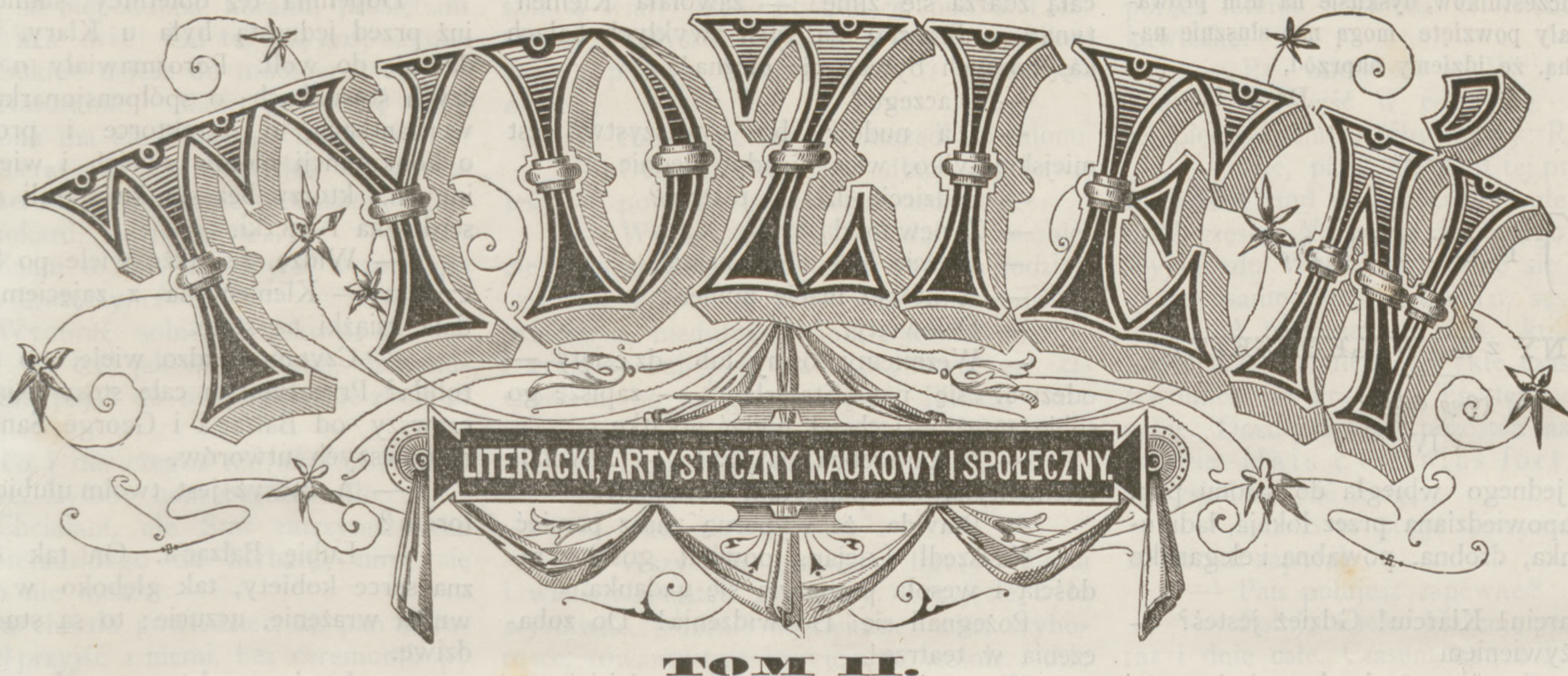
Nr. 32. Lwów, Niedziela dnia 8. Sierpnia 1875 r. **Rok II.**



TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXXII.

DRUGI ZJAZD LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH.

Opis zjazdu świeżo odbytego podaliśmy w krótkości w miejscu właściwem. Tu zastanowimy się nad jego znaczeniem i owocami. Aby osądzić, pierwsze, wypada określić cel zjazdów lekarsko-przyrodniczych w ogóle. Myliłby się, ktoby sądził, że przeznaczeniem ich jest posuwać naprzód badania naukowe lub rozstrzygać wątpliwe kwestje. Badania naukowe potrzebują spokoju i czasu. Niepokaźne pracownie, położone na uboczu laboratorja, oto miejsca, gdzie się dokonywa postęp nauki. Kwestyj zaś spornych w nauce nie może rozstrzygnąć choćby największe zgromadzenie badaczów. Nauka nie zna głosowania. Dopóki istnieje jedna wątpliwość, kwestja naukowa pozostanie sporną. Cel zjazdu jest inny. Pierwszym jest przywrócenie i ożywienie poczucia przynależności do wielkiej rodziny badaczów przyrody, zaczerpnięcie w tem poczuciu nowych sił i ochoty do pracy naukowej, od której życie praktyczne odrywa odosobnione jednostki. W tym względzie zjazdy naukowe mają niezaprzeczoną wartość. Nauczyciel, przygnieciony troskami rodzinnego życia, lekarz zabsorbowany mozolną praktyką, nawiązują na zjeździe nić, która ich łączy z resztą pracowników na tej samej niwie, i ściśniają węzły, jakie nas łączą z nauką, zwolnione zabiegami powszedniego życia. Drugim ważnym celem zjazdów w naszem położeniu jest ich strona polityczno-narodowa. Rozdzieleni sztucznemi granicami, łączymy się w sprawach naukowych i w pracy około dobra powszechnego i dajemy narodowi naszemu świadectwo żywotności. Wymownie uchwycił obie powyższe strony zjazdów dr. Dietl w przemowie na pierwszym zjeździe w Krakowie, powtórzonej przy zagajeniu drugiego zjazdu przez prezesa komitetu przygotowawczego. „Nie idzie o to, żebyśmy tutaj snuli szumne teorje i systematy mające ludzkość uszczęśliwić, żebyśmy odkrywali wielkie prawdy, na jakie zdobyć się może duch ludzki; idzie tu tylko, byśmy rozproszeni po różnych częściach i zakątkach kraju potrafili odszukać i znaleść się na tem miejscu, odzyskać poczucie naszej siły, żywotności i łączności, jakich nas pozbawił wiekowy ucisk nieprzyjaznych nam stosunków, jednem słowem, byśmy stanęli wspólnie pod sztandarem pracy i miłości dla kraju i powiedzieli sobie: Jesteśmy i być chcemy." Trzecią nareszcie stroną zjazdu jest podanie środków zmierzających do poprawy stosunków zdrowotnych kraju. Jest to zastosowanie wyników nauki do urządzeń administracyjnych. Tu już głosowanie jest możebnem. Zebrani z różnych części ojczyzny, podają członkowie spostrzeżenia swe nad stosunkami zdrowotnemi okolic przez siebie zamieszkałych i sposoby ich poprawy, w formie wniosków. Te wnioski, na które się większość zgodzi, zamienia zgromadzenie w swoje uchwały.

Spojrzyjmy teraz z wymienionych punktów widzenia na znaczenie i owoce ostatniego zjazdu. Już sama liczba jego uczestników, która doszła poważnej cyfry 485, świadczy o jego znaczeniu. Dowodzi ona, że ojczyzna nasza umie zrozumieć prąd ducha wieku, którego wyrazem są nauki przyrodnicze i stara się dogonić w pochodzie przodujące narody. Dowodzi dalej, że pozbawieni bytu politycznego, nie przestaliśmy być czynnikiem w urabianiu cywilizacji, że jesteśmy narodem i zasługujemy być państwem. Oto znaczenie zjazdu ostatniego na zewnątrz. Na wewnątrz zaś łatwo zrozumieć, że zgromadzenie tak liczne pracowników na jednej niwie, roztliło w osłabionych pracą, znużonych walką o byt codzienny, na nowo iskrę naukowego zapału. Każdy wraca do swych zatrudnień podniesiony na duchu, rozgrzany dla postępu nauki, dobra ojczyzny i ludzkości. Pięknie to uwydatnił prezes zjazdu dr. Majer w przemowie swej, zamykającej zjazd: „Żegnajcie mili bracia, bądźcie nadal w różnych stronach apostołami nauki i apostołami bratniej miłości."

Nareszcie pod względem praktycznym świadczy jedenaście uchwał zjazdu o jego owocach. Z tych pierwsze dwie odnoszą się do hygjeny. W szkołach naszych tak ludowych jak średnich i wyższych uczą wszystkich możebnych rzeczy, a pomijają milczeniem najpierwszą, tj. naukę, jak należy się żywić, odziewać, mieszkać itd., aby zachować czerstwość i zdrowie ciała. Jeżeli dla każdego narodu zaszczepianie zasad hygjeny jest wielkiej wagi, to dla nas ma ono pierwszorzędne znaczenie. Olbrzymia śmiertelność wstrzymuje wzrost ludności, a z nią postęp kultury i przemysłu. Dość przytoczyć, że w Galicji umarło w r. 1871 — 176 tysięcy, w r. 1872 — 206 tysięcy, w r. 1873 — 305 tysięcy osób. Czemże są najkrwawsze wojny wobec tych cyfer? Słusznie więc poleca zjazd wystosować memorjały do odpowiednich władz, wykazujące potrzebę zaprowadzenia nauki hygjeny w szkołach. Trzecia, dziewiąta i dziesiąta uchwała odnoszą się do pilnej potrzeby wprowadzenia w życie organizacji zdrowotnej, aby umożliwić wykonywanie policji zdrowia, której większa część istnieje dotąd tylko na papierze. Czwarta i piąta uchwała dotyczą środków powstrzymania chorób zaraźliwych i nagminnych. I tu cyfry przemawiają wymownie. Weźmy cholerę. Panowała ona w Galicji w r. 1831, 1848, 1849, 1855, 1866, 1871, 1872 i 1873. Pomijając epidemję z r. 1866 w całej Galicji, i epidemję w Galicji zachodniej w r. 1855, z których dat nie ma, zachorowało w Galicji w latach wyż powołanych ogółem ludności 650 tysięcy, z tych umarło 38·9%. Szósta uchwała ma za cel poprawę przepisów policji budowniczej. Dosyć popatrzeć na nasze wsie i miasteczka, aby poznać potrzebę naprawy stosunków w tym kierunku. Jak wyglądają nasze chaty niskie, dymne, z oknami przytwierdzonemi tak, że wszelkie przewietrzanie mieszkań jest niemożebnem; jak wyglądają wąskie ulice i zaułki po miasteczkach, wiadomo powszechnie. Siódma uchwała odnosi się do potrzeby ogłaszania wiadomości statystycznych tyczących się chorób, śmiertelności i służby zdrowia. Statystyka jak w każdej innej gałęzi, tak i tu może jedna dać rzetelną podstawę do ocenienia naszych stosunków zdrowotnych i do podania środków ich poprawy. Ten krótki wykaz powziętych uchwał dowodzi jasno pożyteczności zjazdu ostatniego na polu praktycznem. Całość zjazdu,

liczba jego uczestników, dyskusje na nim prowadzone, uchwały powzięte mogą nas słusznie napełniać otuchą, że idziemy naprzód.

Dr. *J. R.*

TRUCIZNA.

Powieść

PAULINY z L. WILKOŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Dnia jednego wbiegła do salonu pani Klary, niezapowiedziana przez lokaja, ładniutka blondynka, drobna, powabna i elegancko ubrana.

— Klarciu! Klarciu! Gdzież jesteś? — wołała z ożywieniem.

Klara z drugiego nadeszła pokoju.

— Klemencja! — wykrzyknęła i rzuciły się obie w objęcie. — Zkądże mi spadłaś? — pytała, sadzając ją na kanapę i przy niej miejsce zajęła.

— Mieszkamy ztąd o dwie mile. Przybyliśmy wczoraj. Dowiedziałam się, że tu mieszkacie i pospieszyłam do ciebie.

— Jakaż to niespodzianka! — Klara ją uścisnęła. — Nie widziałyśmy się podobno od lat sześciu!

— I postarzałyśmy! — uśmiechnęła się blondynka, bielutkie pokazując ząbki.

Obiedwie na jednej wychowały się pensji i kochały się zawsze.

— A cóż twój mąż? — zapytała Klara.

— Zobaczysz go zaraz, guzdrze się w przedpokoju, bo jest trochę safandulskim — pośmiała się znowu. — A twój małżonek i pan?

— Nadejdzie i on niebawem. Wyszedł...

Drzwi otworzono i ukazał się młody, przystojny mężczyzna, z mocnym zarostem, cery zdrowej, ogorzałej, bo znać wiele na powietrzu przebywał.

— Mąż mój: pan Stanisław Krężelski dziedzic Markowa — przedstawiła go Klementyna trzpiotowato nieco.

Pan Stanisław Krężelski pokłonił się poważnie.

— Państwo mi wielką, wielką i nader miłą niespodziankę czynicie! — wymówiła pani domu, podając mu rękę z wdzięcznym wyrazem, — nie wiedziałam wcale, że tak blisko mieszkacie. Dzięki, żeście nas poszukali zaraz. Siadaj, dobry panie. Mąż mój nadejdzie niebawem!

— Jakżeż ci się w W··· podoba? — zapytała Klementyna przyjaciółkę.

— Nie rozpatrzyłam się jeszcze. Oddaliśmy kilka koniecznych wizyt, zresztą zamieszkamy tu tylko do pierwszego kwietnia.

— Och, to niedługo, szkoda!

— Czy bywasz tu często?

— Dość często. Wszystkie sama zwykle ułatwiam sprawunki. Jestem pod tym względem praktyczną. A moja dwuletnia córeczka często czegoś potrzebuje.

— I żoneczka moja lubi miasto — uśmiechnął się pan Stanisław; — lubi teatr, koncerta, czasem i potańczyć...

— To chyba raz jeden, lub dwa przez całą zdarza się zimę! — zawołała Klementyna. — Przecież na tych zwykłych balach kasynowych bywać nie można!

— Dlaczego?

— Dla nudów, bo towarzystwo jest miejskie tylko, więc nieodpowiednie...

— Będziecie dziś w teatrze?

— Z pewnością.

— Weźcie lożę obok naszej.

— A któryż macie numer?

— Dziewiąty.

— Weźmiemy ósmy lub dziesiąty — odezwał się pan Stanisław; — zapiszę go sobie zaraz — i chciał wyjąć notatkę.

— Niepotrzebna fatyga! — zawołała Klementyna — spamiętam doskonale.

— Prawda, że wyborną masz pamięć.

Nadszedł Lucjan, powitał gości z radością i wesoła potoczyła się gadanka.

Pożegnali się: Do widzenia! Do zobaczenia w teatrze!

Klara cieszyła się myślą o dzisiejszem przedstawieniu: grano S z l a c h e c t w o d u s z y. Ale mniej ją obchodziła sztuka, raczej uśmiechało się do niej spodziewane sąsiedztwo.

Weszli do loży, gdy w tem — o zawodzie! — widzi o lóż kilka Krężelskich, a z niemi jakiegoś nader ładnego kawalera.

— Ach, Boże! — zwróciła się Klara do męża — mieli być obok w loży, a tak są daleko od nas. Jakaż to d e c e p c y a!

— Może biletów już nie dostali...

W tej chwili wybiegł pan Stanisław ze swojej loży i przyszedł do nich.

— Dobry wieczór. Sługa pani — wymówił, podając rękę pani Klarze. — Wystaw sobie pani — dodał z wyrazem żalu — że mimo zachwalonej pamięci swojej, Klemencja pomyliła się w numerach loży państwa, i jesteśmy miłego pozbawieni sąsiedztwa. Chciałem zamienić przy kasie, ale nie szło.

— Jakaż szkoda!

— I my żałujemy bardzo. Na przyszły raz już jej nie pozwolę podobnego strzelić bąka.

Po chwili pan Stanisław powrócił do żony, która tymczasem wesoło z młodym rozprawiała towarzyszem.

— Któż jest ten kawaler? — zapytała Klara męża.

— Który?

— W loży Krężelskich.

— Julian Sieradzki... ma ztąd wioskę o milę. Ładny chłopiec, nieprawdaż?

— Tak... dosyć

— O, nie dosyć! — zaśmiał się Lucjan, — ale bardzo ładny. Wielka to przyjaźń z Krężelskiemi...

Nie było dziś już pani Floryny z jej adjutantami. A co więcej, nie było i zajmującego v i s - a - v i s z przeszłego przedstawienia. Artyści dobrze grali — lecz Klara humoru nie miała.

Ażeby sobie doznane zawody w części nagrodzić, poleciła mężowi, by państwa Krężelskich zaprosił po teatrze na herbatę. Lucjan chętnie powolny jej życzeniom poszedł, ale z odmówną odpowiedzią powrócił. Pani Klementyna kazała podziękować, bo zamówiła po teatrze krawczynię do siebie, by jej kilka sukien oddać do roboty. Lecz obiecała że kochaną Klarcię jutro z rana odwidzi.

Dopełniła też obietnicy sumiennie, bo już przed jedenastą była u Klary, by nagadać się do woli. Porozmawiały o dawniejszych stosunkach; o spółpensjonarkach i guwernantkach, o dyrektorce i profesorach; o konkurencji mężów swoich i wielbicielach innych, którzy bez skutku starali się o ich serduszka i rączki.

— Widzę, że także wiele po francusku czytasz — Klementyna z zajęciem przeglądała książki na stole.

— Czytam bardzo wiele, bo i cóżbym robiła? Przeczytałam całe stosy książek, począwszy od Balzac'a i George Sand, aż do najnowszych utworów.

— A któryż jest twoim ulubionym autorem?

— Lubię Balzac'a. On tak dokładnie zna serce kobiety, tak głęboko w każde jej wnika wrażenie, uczucie; to są studja prawdziwe.

— Ja, bo wolę nowszych; zawsze co nowe, to i postęp ma donioślejszy. George Sand z młodymi idzie naprzód.

— Tworzy i maluje piórem czarującem. Ależ ta Balzac'a głęboka znajomość serca niewieściego! On tak poznał tajniki jego, tęsknotę, pragnienia i żądze!... Przestawać, żyć prawie można z postaciami, stworzonemi przez niego.

— Dzisiejsi, Feydeau i Flaubert, więcej jeszcze, głębiej, dokładniej i w najdrobniejszy wnikają szczegół, i więcej są postępowi.

— Wywołują drastyczność... — Klara zapłonęła zlekka.

— Otóż to właśnie jest genjalnem! A jakżeż po takich arcy-tworach można polską przeczytać powieść?! To też ja polskich nie czytuję wcale; są mi za blade, za moralne, za nudne... zacofane po prostu!

— Ale mają powab rodzimy. Malują nam nasze postacie, nasze towarzystwo..

— Które widujemy wszędzie i które nudzą nas zawsze! — Klementyna ruszyła ramionami i uśmiechnęła się. — Nie mogę tego czytać, niepodobna! Wezmę czasem taką książkę do ręki, gdy Staś o to woła i naciska, ale przerzucę stronice, ziewnę i cisnę.

— Czy macie miłe sąsiedztwo?

— Nudne sobie figury wiejskie, szlacheckie, z wyjątkiem wszakże jednego...

— Zapewne tego, który wczoraj był u was w loży?

— Zkądże wiesz? — poruszyła się niespokojna.

— Mówił mi Lucjan.

— A pan Lucjan zkąd wie? — spojrzała na nią szeroko rozwartemi oczyma.

— Zapewne od pana Stanisława, który mu mówił, że to wasz sąsiad i przyjaciel.

— Tak... lubią się ze Stasiem bardzo. Bywa u nas często; wyjeżdżamy razem konno, grywamy na cztery ręce, czytujemy... i tak dość przyjemnie czas schodzi.

— Pragnęłabym dla nas takiego sąsiedztwa.

— I wy macie nudne zapewne?

— Takie sobie zwyczajne...

— Otóż to!

— Więc zapełniam sobie czas czytaniem.

— Tak samo, jak i ja. Bo i cóżby począć z czasem? Przecież masłem, serem

zajmować sie niepodobna, kurami, prosiętami pardon ma mie! Od tego są gospodynie.

— Suknie dajesz do modniarek?

— Naturalnie! Mam ja pannę dość zręczną, ona ma ale inne zajęcie: musi mnie czesać, ubierać; a potem znajdą się zawsze jakieś przeróbki, oszywanie koronkami, przepinanie kokard, vous savez.

— Znam to! A czy była wczoraj po teatrze ta krawczyni?

— Wyobraź sobie, że słowa nie dotrzymała. To też, jak nie pyszna, dziś musiałam sama pójść do niej, i właśnie ztamtąd wracam.

— To i dla czegóż nie przyszliście do nas jeszcze. Byłoby nam bardzo miło.

— Chciałam, ale Staś zatrzymał pana Juliana Sieradzkiego na herbatę; obyć się bez niego nie może.

Klara chciała powiedzieć, że pan Sieradzki mógł przyjść z niemi, bez ceremonji, po polsku — gdy do salonu wszedł pan Stanisław, by żonę uprowadzić z sobą. Posłyszawszy głos jego w swoim pokoju, nadbiegł gospodarz domu; ucieszył się gościem i zatrzymał ich na objad.

— Skromny — dodał — ale zawsze smaczniejszy od hotelowego.

— Prosimy! prosimy! — złożyła Klara dłonie i pocałowała Klemencję.

Pan Stanisław przystał chętnie na to szczere zaproszenie. Klementyna niby zpochmurniała trochę — jak gdyby z tego pozostania zadowoloną nie była. Miała zapewne jeszcze różne sprawunki do poczynienia. Zwolna jednakże rozweseliła się znowu.

Tegoż dnia jeszcze, pod wieczór, wyjechali państwo Krężelscy do siebie; bo panu Stanisławowi spieszyło się do gospodarki.

W trzy dni potem był Lucjan na proszonym, wielkim, wystawnym objedzie u prezesa. Był to stary kawaler, więc tylko męzkie towarzystwo przyjmował.

Klara wieczór cały a długi przepędziła samotnie. Czytała — i czytała! — Przeczytała jakiś nowy romans głośnego i wielce uzdolnionego Feydeau; drobiazgowe, poszczegółowe a dokładne analizowanie każdego poruszenia serca, wrażenia, wzruszenia, uczucia każdego — choćby nadto płochego — podziwiać jej kazało sięganie autora aż na dno duszy, serca i umysłu obok zmysłowości porywów... A treść cała zawładnęła ją drastycznie i gorączkowo, rozbujała fantazję.

Odłożyła przeczytaną książkę — i już więcej czytać nie chciała, nie mogła. Przebiegała salon w zdłuż i w szerz. Na stole jasno paliła się lampa. Samotność raziła ją tęskno; niby miękiem uczuciem o puste potrącała ściany. Potem rozkołysanej wyobraźni zapełniła próżnię sobie postaciami, które z przeczytanych opowiadań, nakreślonych po mistrzowsku, w żywej przechowała pamięci. Przybłąkała się i myśl, jak przyjemnie, barwnie, mógłby popłynąć wieczór, gdyby go jaki gość wybrany umilił — i bezwiednie niemal przesunął się przed wzrokiem jej duszy... Kto?... Nazwaćby go nie umiała. Lecz widziała jego elegancką postawę, pochylenie się niby niedbałe a pełne wdzięcznego ruchu — i zwróconą na siebie lornetkę...

Pobiegła do okna. Otworzyła i wyjrzała na ulicę. Było ciemno i pusto; śnieg poprószał, a wiatr blado błyszczącą pomiatał latarnią. Posłyszała odgłos szybkiej a silnej stopy; poznała chód Lucjana i zatrzasnęła okno.

W chwilę potem mąż wszedł do salonu.

— Och, Lucku, tak długo się bawiłeś! — powitała go z wyrzutem.

— Wybacz, aniołku!—Wziął ją w objęcie i pocałował. — Objad trwał od godziny czwartej do pół do ósmej. Potem zrobiliśmy preferansa, niedużego. Inni pozostali jeszcze i grają w najlepsze, jam wymknął się cichaczem, bo mi głowa cięży. Piliśmy dużo wina, a stare i różne, wreszcie szampana.

— Dużo było osób?

— Podobno przeszło sześćdziesiąt.

— I kto też?

— Wszystkie pierwsze figury miasta i wielu obywateli z okolicy. Przyjęcie było wystawne, jedzenie wykwintne, wina wyborowe, towarzystwo przyjemne, wesołe... Ale ty nudziłaś się pewnie, biedaczko?— objął składny jej stanik i przeszedł się z nią po pokoju.

— Nudziłam się, tęskniłam. Anim wiedziała, co począć z sobą.

— Trzeba nam koniecznie kilku znajomych, którzyby nas wieczorami odwidzali... Postaram się o to. Czyś już po herbacie?

— Od dwóch godzin. Przecie to już po dziesiątej. W ochoczem zebraniu, ani wiedziałeś która godzina, gdym ja każdy kwadrans liczyła.

— No, już nie gniewutki! — musnął ją pod brodę i pocałował w czoło — za to napiję się jeszcze herbatki, by wino wyszumiało rychlej.

Zadzwonił na Pawła i kazał samowar nastawić.

V.

Dnia drugiego po objedzie u prezesa, państwo Trzebiewscy, jak zwykle, w południowej godzinie w salonie bawili. Klara siedząc na kanapie, czytała. Lucjan opodal dzienniki przerzucał. Paweł wszedł i bilet oddał.

— A! prosić, prosić! — zawołał pan domu, kładac kartę na stole, i powstał szybko.

— Paweł wybiegł. Lucjan za nim posunął się ku drzwiom. Klara przeczytała na bilecie: Albert Złotowiecki; wcisnęła szybko książkę pod wałek i podjęła dziennik, poprawiwszy włosy nad czołem.

Drzwi otworzono i wszedł... nieznajomy z vis-á-vis w teatrze. Klara zapłonęła i powstała. Lucjan uścisnął rękę przybyłego i przedstawił go żonie. Poczem uprzejmie wskazał mu fotel.

Pan Albert Złotowiecki słów kilka grzecznych wymówił i z eleganckim usiadł ruchem.

— Panowie długo jeszcze bawiliście wczoraj? — zapytał Lucjan.

— Wyszedłem około jedenastej — odrzekł gość — ale dużo tam jeszcze pozostało osób. Towarzystwo było przyjemne, można było i zajmującą przeprowadzić rozmowę. Ale siedzieć przy stole przez półczwartej godziny a potem do jedenastej w gwarnem pozostać kole, c'est assomant! uśmiechnął się, zwieszając rękę zgrabnie na poręcz fotelu, ściśniętą w mocno żółtą rękawiczkę.

— Pan mieszkasz w W···? — zapytała Klara, by wejść w rozmowę. Imponował jej piękny panicz, niby żywy Rastignac.

— Nie, pani, nie mam tej przyjemności. Mieszkam ztąd o mil cztery, ale bywam tu dość często. Na resztę zimowego saison'u wyjadę do Warszawy; czuję się u siebie za nadto osamotnionym. Enfin, sąsiedztwa nie mam. A pierwsza to zima, którą w domu przesiedzieć chciałem. Zwykle czas i pieniądze trwoniłem za granicą. To też powiedziałem sobie: Dość już tego pozostań na swojej zagrodzie. Mais c'est plus fort que moi, i wysiedzieć nie mogę.

— Łatwo to pojąć — wymówiła Klara a Lucjan zapytał:

— Pan polujesz zapewne?

— Poluję wiele. Harcuję po polach nieraz i dnie całe. Czasem nawet i późnym już wieczorem, każę sobię przyprowadzić konia i puszczę się, na żadne nie zważając przeszkody. Jedyna to rozrywka.

— Pan zapewne i czytasz wiele? — wtrąciła znowu Klara.

— Bardzo wiele! Miewam każdą nowość polską, francuską, angielską. Lecz mnie raczej żywego potrzeba słowa; kocham ludzi i żyć bez nich nie mogę... Pani, jak widzę, literaturą zajmujesz się wiele — wskazał wzrokiem leżące na stole książki.

— To jest żony mojej element — pośmiał się Lucjan.

— Państwo pozwolicie służyć sobie najświeższemi utworami? — pokłonił się pan Albert uprzejmie.

— Zyskasz pan sobie nieskończoną wdzięczność mojej pani, która tego pokarmu nigdy nie ma zadość.

Mówiono następnie o teatrze. Pan Albert wyrażał się o nim z politowaniem. Znał przecie Drezno, Wiedeń, Paryż itd. itd.

— Abonowałem lożę przez wzgląd na dyrekcję i tych biedaków artystów, ale nie bywam często, potrzeba jednak dodawać zachęty a poprawią się. Jest powinnością popierać i podnosić co swoje.

Po chwili gość powstał.

— Gdzież pana można rewizytować?— zapytał Lucjan.

— W hotelu Warszawskim — pan Albert pokłonił się wdzięcznie.

— Mam nadzieję, że pan łaskaw będziesz na nas, o ile nie nastręczy się coś lepszego. Przyjmujemy każdego wieczoru, gdy nie ma przedstawienia — Lucjan podał mu rękę.

— Gdybym wedle woli i chęci z tego uprzejmego chciał korzystać wezwania, to stałbym się natrętnym — odrzekł z elegancją pan Albert.

— Nigdy! Prosimy, bez ceremonji, na herbatkę i pogadankę. Towarzystw wprawdzie nie miewamy.

— To właśnie dogadza najwięcej! Uszczęśliwiasz mnie pan łaską swoją — zwrócił się ku pani domu spojrzeniem, jak gdyby zapytywał: czy i ona dzieli życzenie małżonka.

— Prosimy! prosimy! — powtórzyła Klara, bo zrozumiała wyraz jego oczów — zobowiążesz nas pan szczerze. Dodam jednak za mężem: że najczęściej jesteśmy sami.

*

— Będą to chwile najprzyjemniejsze!

Pokłonił się głęboko. Klara podała mu rękę. Pan Lucjan wyprowadził go do przedpokoju.

— To przyjemny jest człowiek — zagadał, wróciwszy do salonu

— Obyty w świecie, w salonowem życiu, wykształcony — potwierdziła małżonka.

— Poznałem go przy wczorajszym objeździe. Bardzo tam podobał się wszystkim. Zapełni nam niekiedy wieczór przyjemnie.

— Tylko że on do Warszawy wyjedzie.

— Prawda!

Klara wyciągnęła z pod wałka książkę.

— Powiedz mi, Klarciu — zaśmiał się Lucjan, obejmując ją — dla czego zawsze lecture'ę swoją wpychasz do aresztu, gdy gość się jawi? Uczyniłaś to nawet przy anonsowaniu Krupnickiego wizyty.

— Otóż... bo widzisz... jest to un peu scabreus...

— I wstydzisz się tego! Ale jakżeż może kobieta z delikatniejszem uczuciem, z uczuciem czystem, niewieściem prawdziwie, czytać takie rzeczy, za które wstydzićby sią musiała, gdyby o tem wiedziano? Nie zastanowiłaś się, aniołku, bo inaczej odrzuciłabyś takie książki.

— Mnie to bawi, mój Lucku! — mówiła, tuląc głowę do ramienia — a przecież nie zepsuję się.

— Zawsze to naganne! Zastanów się, rozważ, a przekonasz się pewno, że zły czynisz wybór. Dla czegóż raczej polskich nie czytujesz powieści?

— Wszakże czytam czasem.

— Czasem! Czasem coś tam przeczytasz polskiego, a pochłaniasz francuskie. Wierzę w czystość uczuć twoich, w prawość zasad twoich i cnotę, ale pocóż taką połykać truciznę? Ani wiesz, ani spostrzeżesz gdy jad zaczerpnięty wpływ wywrze szkodliwy.

— Nigdy! Och, Lucku, obrażasz mnie!

— Uchowaj Boże, nie chcę tobie cieniem cienia ubliżyć! Ale w całej niewinności twojego ducha, ani zmiarkujesz, gdy wsteczne zasadom dawnym, a wyrozumowane i ponętne ideje wślizną się zwolna i nieszczęśnie myśl obałamucą...

— Co też ty gadasz!

— Ależ to naturalne następstwo, mój aniołku! Mam wiarę w ciebie, że się nie zepsujesz, że zdrożności nie popełnisz żadnej, ale bezwiednie nawet przylgnąć mogą, wypowiedziane z powabem i wyłożone niby-to logiczne przekonania, podkopujące dawne moralności zasady: Nie kładź nigdy bielizny przy ścierce! powinno być dla każdego przestrogą.

— Przecież postęp być musi! Kobieta winna mieć niezależne stanowisko i prawa swoje.

— Zapewne! Nie jestem przeciwko postępowi pod żadnym względem i uznaję w całej pełni prawa przynależne kobiecie i jej samodzielności. Ale mówię tutaj o czemś innem wcale, to jest o tem, co sama przed chwilą scabreus nazwałaś.

— Ej, to dzieciństwo! — pocałowała męża — przeczytaj a sam się zabawisz.

— Naczytałem się tego wszystkiego! A dziś nie mam czasu po temu, i te bzdurstwa gniewałyby mnie zapewne. Gdy czytam, to wybór czynię dobry, inaczej: szkoda czasu i atłasu!

— Ja dużo mam czasu, za wiele nawet, a te powieści bawią mnie. Są napisane wybornie, z wielkim talentem, genjalnością...

— To i szkoda takiego talentu!

— Ale widzisz ma to tendencję pewną i maluje społeczeństwo, obyczaje...

— Błędy!

— Walkę z życiem, wyrabianie się idei...

— Proszę do stołu — przerwał im Paweł dalsze rozprawy.

Wieczorem byli państwo Trzebiewscy w teatrze. A Klara wielką miała przyjemność, bo pan Albert Złotowiecki odwidził ich w loży. Stało się zatem, czego pragnęła.

Pan Albert zabawił jeszcze dni kilka w W···, a korzystając z uprzejmego wezwania, był niemal codziennym u nich gościem. Wykształcenie umysłowe, wprawa salonowa, przebywanie dużo w świecie, wielkiego dodawały mu powabu. Posiadał niezmierną łatwość towarzyską — i przy drugiej wizycie byli już z sobą, jak gdyby znali się oddawna. Książek najświeższych całą nadesłał pakę, ale było między niemi polskich dużo, a francuskie należały do wyborowych, w czem oczywiście, wielki a przynależny takt okazał.

Klara widziała w nim myślą młodą, pochwytną a niewytrawioną, z przyjemnością wszystkich bohaterów romansowych, o których czytała i marzyła. Chciała go zainteresować, a nie oglądając się dalej pragnęła jego uwielbień... i pragnęła przejść, dla rozrywki, przez dramacik jaki. Nie zastanowiła się nad niczem i ani jej w myśli postało, że to zasługuje na naganę, że na śliskie puszcza się manowce. Nie przewidywała niebezpieczeństw żadnych. Slizgała się — zostawała w rozmarzeniu — w odurzeniu — w śnie uroczym bez przebudzenia.

To też próżnia zrobiła się w około, gdy Albert wyjechał; brakowało go wszędzie.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

IV.

Malarze monachijscy.

Kto nie zna pięknej i rzewnej pieśni ukraińskiej, poczynającej się od słów:

Kozak konia napawau,

pieśni, którą na małej Rusi niańki dzieciom nucą przy kolebce? Romantyczną jej treść p. Józef Brandt przeniósł na płótno i tak powstał obrazek nie wielki w rozmiarach, znajdujący się na tegorocznej wystawie lwowskiej. Koło studni przed zagrodą włościańską stoi dziewczyna, a przed nią kozak, snać wybierający się w dalszą podróż, bo i koń osiodłany pije wodę ze żłobu, i towarzysze wypraw awanturniczych jadą już w głębi polną drogą. Kozak mówi, że wkrótce powróci i zapewnia, że w oddaleniu kochać nie przestanie, a dziewczę z głową spuszczoną i ręką u ust, słucha pełne uczuć bolesnych. A jeśli on zginie? A jeśli znajdzie inną do której całą duszą przylgnie? Trudno o postać równie naturalną i poetyczną jak to dziewczę, które chociaż ani zbyt piękne ani strojne, przemawia do naszej duszy szlachetną prostotą i niekłamaną niewinnością; ale obok tego trudno także o figurę więcej niezgrabną, rubaszną, niekształtną, prawie chęć nas zbiera powiedzieć: brzydką, jak ten kozak żywcem z natury schwycony, w którym dziewczę musi się kochać, bo tak chciał artysta. Nam przykro, że jej ulubiony lepiej się nie prezentuje. Gdyby p. Brandt zrównoważył był obie te postacie, gdyby kozak nie wyglądał tak ultrarealnie, kompozycja, mająca pełno zalet pod względem rysunku, kolorytu, oświetlenia i perspektywy, byłaby na widzu stokroć przyjemniejsze robiła wrażenie.

Piękną, bardzo piękną jest kompozycja p. Władysława Czachórskiego *Przy fortepjanie*, na której widzimy w salonie dwie młode osoby, z których jedna dotyka się białemi paluszkami klawiszów pjanina, a druga śpiewa, wsłuchując się uważnie w tony akompanjamentu. Rysunek osoby siedzącej jest tak czysty i szlachetny, że pod tym względem trudno sobie coś piękniejszego wyobrazić, a modelowanie ciała żywego jest wzorowe. Mniej powabną wydaje nam się jej towarzyszka. Rozwarte usta, przez które rwą się tony, zrobiły jej twarz na pół przestraszoną. Mimo to, całość do najdrobniejszych szczegółów wykończona z wprawą artysty rutynowanego, i gdyby ta kompozycja była owocem młodego talentu, a nie malarza, który pokonawszy od dawna trudności techniki, mógłby już wyjść z ciasnych ram sztuki salonowo-rodzajowej, w autorze obrazku *Przy fortepjanie*, widzielibyśmy w przyszłości jednego z pierwszych malarzy. Na zakończenie ośmielimy się jeszcze zapytać p. Czachórskiego, czy kompozycja jego jest na wskróś oryginalną? Nam natomiast zdaje się, żeśmy już gdzieś podobną widzieli, a jej autor, artysta niemiecki, którego nazwisko wybiegło nam z pamięci, ponoś ją zatytułował: *Chopin*. Czy się mylimy?

P. Franciszek Streit charakteryzuje głowy z zacięciem prawdziwie artystycznem. *Gagatek rodziny* jadący na taczkach trawą przepełnionych, uśmiecha się ze swobodą dzieciaka, dla którego taka przejażdżka z pola do domu jest najprzyjemniejszem całego dnia marzeniem; matka i siostra uśmiechają się doń z zadowoleniem osób starszych, które cieszy ta niewinna istota, mająca tak małe jeszcze pragnienia — a starszy brat postępuje poważnie obok taczek, jakby bawienie się z dzieckiem uwłaczało jego osobie! Wszystkie te osoby tworzą jedną rodzinę, tak wielkie jest między niemi podobieństwo, a mimo to z twarzy każdej z osobna poznać jej płeć i wiek. Trudność to nie mała, którą atoli artysta szczęśliwie pokonał. Mniej pomyślnie wypadła za to perspektywa powietrzna. Partja na prawo jest traktowana z wielką znajomością natury, lecz na ostatnich planach nie ma powietrza. Wpatrzywszy się uważnie, zdaje nam się, że tam zamiast nieba i przestrzeni, wisi niebieska kortyna. Chłopca pomieścił artysta także niewłaściwie, bo nie możemy odgadnąć w którem miejscu znajdują się jego nogi.

Temi samemi wadami, tylko w większym stopniu, grzeszy obrazek p. Władysława Szernera *Mali żniwiarze*, gdyż zamiast nieba, mamy czysty ołów; ale ponieważ w rysunku, karnacji i w podpatrywaniu natury z jej strony piękniejszej, widzimy talent prawdziwy, przeto mamy nadzieję,

że p. S. pozbędzie się wkrótce niedostatków. Taką samą nadzieję niech wolno będzie wypowiedzieć przed obrazem p. Antoniego Kozakiewicza, mającym przedstawiać *Marzycielkę*. Jeżeli marzenie ma tak fatalne pociągać za sobą następstwa, to na wszystko zaklnę moje piękne czytelniczki, aby nigdy nie marzyły. Wszak to osoba chora, nie rozmarzona, której kochanek, (gdyby miał odwagę zjawić się teraz) powinien coprędzej przynieść filiżankę rumianku. — W całości dość talentu, ale sił za mało.

Śmiercią Margiera p. Kazimierza Alchimowicza, kończymy przegląd utworów malarzy monachijskich. O ostatniej tej pracy nie wiele da się powiedzieć. P. Alchimowicz rysuje już poprawnie i bardzo pięknie ludzkie ciało modeluje, o czem można się przekonać z leżących figur matki i dziecka; ale za to ugrupowanie nie uderza oryginalnością, zielonawy zaś koloryt nie może żadną miarą usposobić nas przychylnie dla całości. W podziemiu nie zawsze panuje taka wilgoć, albo mówiąc jaśniej, na obrazie nie powinna ona nigdy panować, jeżeli jest tylko prawdziwą, ale nie piękną. W sztuce zaś dajcie nam zawsze więcej piękna jak prawdy, a gniewać się za to nie będziemy.

V.

Malarze krakowscy, lwowscy i inni.

Artyści krakowscy poskąpili nam prac swoich w tym roku. Przed ośmiu laty wystawa lwowska była zasypana ich utworami. Miałożby to znaczyć że malarze tamtejsi mniej dziś pracują, lub że Lwów wydaje im się miastem zbyt małem? Nie wiemy...

Kto nie zna Juljusza Kossaka? Od iluż to lat podziwiamy jego konie i jego werwę w odtwarzaniu scen z życia szlacheckiego. W tym roku przysłał nam kilka nowych utworów, pełnych prawdy i pięknych, ale obok nich spotkaliśmy się także z nadto konwencjonalnemi, jakby przeznaczonemi do pamiętnika. Czwórka ciągnąca faeton i groom stojący przed koniem zaprzężonym, to nie tematy dla Juljusza Kossaka... Naznaczamy te zboczenia, gdyż pochwał p. K. dosyć się już nasłuchał.

Gryglewski Aleksander w malowidle architektonicznem i dekoracyjnem doprowadził prawie do doskonałości. *Wnętrze sali* w pałacu Wilanowskim jest pracą tak skończoną, że w tym rodzaju trudno sobie coś lepszego wyobrazić. Perspektywa mistrzowska, oświetlenie czarujące, najdrobniejsze szczegóły opracowane z cierpliwością, która niemal ludzkie siły przechodzi. Obraz ten zrozumie i oceni największy nawet profan.

Co się stało p. Kazimierzowi Mireckiemu? Ileż zapowiadał talent tego artysty, a do jakiego teraz spadł poziomu! Pamiętamy dobrze *Dziewczę na poddaszu* i dlatego nie możemy się dość nadziwić, że ten sam malarz, który w tamtym utworze stanął był tak wysoko, przedstawia nam się dziś w obu przysłanych obrazkach, o których mimochodem tylko wspominamy, w szatach tak ubogich. Miałożby to znaczyć, że p. Mirecki już się wyczerpał?

P. Łuszczkiewicz Władysław rysuje bardzo poprawnie i maluje nienagannie, ale za to charakteryzując swoje osobistości, wywołał tym razem efekt wręcz przeciwny temu, jakiego pragnął. Jego *Bekwarek*, to nie lutnista, którego tony muzyki w niebiańskie porywają strony, ale biedny grajek, którego nagle rozbolał żołądek. Córka zaś lutnisty, prześlicznie z profilu ujęta ma wyraz cierpki i surowy, który artyście pewnie przez myśl nie przeszedł...

Męczeństwo Unitów podlaskich, Walerego Eljasza, wymalowane z poczciwą tendencją, usuwa się jako dzieło patryjotyczne z pod surowej oceny, z czego tem chętniej korzystamy, ile że znalazł się już estetyk, który ten obraz zaliczył prawie do arcydzieł. Za to o utworze tego samego artysty, zatytułowanym: *Z życia tatrzańskiego*, musimy powiedzieć, że prócz rysunku jest w nim wszystko bardzo słabe, a o akwareli przedstawiającej *Bitwę pod Racławicami*, że byłaby lepszą, gdyby w niej było więcej ruchu naturalnego, lepsze figury, lepszy koloryt i więcej powietrza prawdziwego. Pan Eljasz widocznie wszystko maluje z pamięci, a nie z natury. Przynajmniej my nabieramy takiego przekonania, patrząc na jego utwory.

Pomijając bardzo słabe widoki Henryka Grabińskiego, i *Napad kozaków* Józefa Jaroszyńskiego, na którym broniaki uciekające z wozem są żywcem z natury zchwycone całość w ogólności bardzo dobra) zatrzymamy się chwilę przy pracy p. Stanisława Szembeka, z którego nazwiskiem pierwszy raz się spotykamy. *Przy studni*, znajdującej się na podwórzu zamku czy klasztoru, widzimy kilka osób obojętnych. Oświetlenie tu piękne, odpowiedne miejscowości, którą mury ocieniają, martwa natura wykończona starannie, a perspektywa świadczy o wprawie artystycznej i tylko głowy osób za mało wykończone. A szkoła, bo gdyby te osoby miały rysy wyrazistsze, całość drobna w założeniu, zajęłaby więcej uwagę starannem wykończeniem. Im mniejszy pomysł, tem staranniejsze powinno być wykończenie szczegółów, bo one tylko mogą pokryć brak myśli.

Nie zbyt szczęśliwym, chociaż nie bez zalet w kilku planach jest *widok letni* p. Antoniego Gramatyka, ale za to do lepszych prac należy jego *Kadłubek* nad spalonym skarbem w Krakowie. W rysunku i kolorycie wiele talentu.

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wiadomo jak niegodnego podstępu użyli nieprzyjaciele w. księcia, aby rzucić podejrzenie na niego przed carową; w skutek tego bała się ona nieustannie, aby on jej nie otruł, a strach przyczyniając się do powiększenia choroby, wzmacniał w niej nienawiść do siostrzeńca. Od chwili gdy już nie mogła pokazywać się publicznie, wydała rozkaz, wzbraniający wstępu w. księciu do jej sypialni; ażeby zaś ten rozkaz nie wydawał się rażącym, wydała taki sam dla w. księżnej. Chociaż tajemnica tego familijnego poróżnienia pozostawała w murach pałacu carskiego, wszakże łatwo mogła rozejść się po Petersburgu, a jeśliby nabrała rozgłosu, wtedy naród, jak zwykle ślepy i łatwowierny, uznałby był plotki za prawdę, przypisując śmierć ciotki jej siostrzeńcowi. W takiem położeniu wypadało koniecznie, by carowa wezwała do siebie w. księcia. Iwan Iwanowicz Szuwałow był oberkamerherem i rozporządzał wszystkiem na dworze, Panin więc uznał go za najstosowniejszego do przeprowadzenia pożądanej zgody. Lecz nie wiedzieć dla czego, czy to by mieć przyjemność dłuższego dręczenia w. księcia, czy też bał się porozumiewać się z tymi, którzy najwięcej szkodzili następcy tronu, albo-li miał nadzieję że przygotuje fałszywy testament, dość, że Szuwałow nie chciał być pośrednikiem w tej sprawie.

Panin udał się wtedy do spowiednika Elżbiety, wyjawiając mu bez ogródek, że wkładane nań zadanie jest bardzo ważne, bo jeżeli zdecyduje się ocalić duszę carowej, być może że sam narazi się tem na wielkie niebezpieczeństwo, wszelako honory i sława, które go czekają w razie powodzenia, powinne dodać mu odwagi. Opowiedziawszy mu następnie wszystkie okoliczności, zapewnił go nadto o wdzięczności, jaką będą dlań mieli w. książę i w. księżna. Pop jak można się było spodziewać, nie więcej troszczył się o królestwo niebieskie dla duszy carowej, jak o łaskawe względy następcy tronu; dał też słowo, że użyje całej swojej świętej wymowy w obec penitentki. Nie zapomniawszy o środkach ostrożności upatrzył tedy chwilę, gdy nie było w pałacu Iwana Iwanowicza Szuwałowa, dotarł do łóżka carowej i dodając jej nadziei prędkiego wyzdrowienia, prawił jej o miłosierdziu Bożem, o wyrokach sprawiedliwych, a na ostatku, skierowawszy mowę na tor pożądany, wymusił od niej pozwolenie dla swej propozycji. Wtedy otworzyły się drzwi, i w. książę wraz z małżonką padli na kolana przed jej łóżkiem a carowa machinalnie powtarzała wszystko, co dyktował spowiednik; w dodatku oznajmiła, że zawsze ich kochała, i przed śmiercią życzy im wszelkiej pomyślności, dając na to swoje błogosławieństwo.

Wszyscy obecni widzieli, że przebaczenie nie było całkiem szczere, lecz dla następcy sam pozór wystarczał, to też jego zwolennicy spieszyli z wielkim hałasem opowiadać wszędzie po Petersburgu, że carowa dała mu swoje błogosławieństwo. Z drugiej strony Iwan Iwanowicz Szuwałow, bojąc się ściągnąć w przyszłości na siebie nienawiść księcia, wystrzegał się odtąd zaprzeczać czemukolwiek i nie rozsiewał nieprzyjaznych wiadomości.

Dumny ze znakomitej przysługi, oddanej w. księciu, Panin spodziewał się, że teraz ma zupełne prawo domagać się od niego, aby postępował podług nakreślonego przezeń planu, według którego wypadało w. księciu natychmiast pojawić się w senacie, dla przyjęcia prawnym (prikaznym) porządkiem korony. W tym celu wyjednał sobie u w. księcia audjencję, która mu natychmiast udzieloną została. Zaczął od tego, że to co ma do powiedzenia, wymaga całkowitej jego uwagi, a potem wystąpił z następującą przemową:

— Od pierwszego kroku, jaki postawisz wstępując na tron, zawisły N. Panie pomyślność twego panowania i sława, którą przez to pozyskasz. Dwa sposoby masz w ręku, aby objąć władzę: albo wojsku każesz ogłosić się imperatorem, albo przyjmiesz koronę z rąk senatu. Pierwszy z nich jest prędszy, atoli drugi pewniejszy. Pilny wzrok nie tylko Europy lecz całej Azji jest zwrócony w tej chwili na Ciebie; pomyśl tedy o sławie, jaką zdobędziesz, gdy niezliczone narody poddane twemu berłu i sami cudzoziemcy postrzegą w całym blasku twoją wspaniałomyślność, jeśli postanowisz utwierdzić się na tronie, nie jak twoi poprzednicy przez sprzedajnych żołdaków (sołdat), lecz przez nieprzymuszony wybór reprezentantów moskiewskiego państwa (Wsiewo Rassijskawo Gosudarstwa). Wiadomo Ci, ile

razy była wstrząsaną ojczyzna nasza. Wiadomo Ci, z jaką łatwością omamione i buntujące się wojsko wynosiło lub zrzucało z tronu swoich carów. Środek proponowany przezemnie może tedy zapobiedz tym zgubnym knowaniom: senat który cię zatwierdzi, zmuszony będzie podtrzymywać swoje postanowienie, a naród mając twoją osobę za świętszą, tem prędzej stanie zawsze w jej obronie. — Powiedziawszy te słowa, Panin wyszedł.

W. książę był już gotów przystać na propozycję Panina, gdy w tem nadeszli dwaj dworscy z jego otoczenia; opowiedziawszy im wszystko, żądał ich zdania. Jeden z zapytanych zrozumiawszy całą przewrotność paninowskich rad, doradzał w. księciu aby zdecydował się na wyrok starego ks. Trubeckiego, którego długoletnie doświadczenie i prawdziwa mądrość, mogą być najlepszą rękojmią dla niego. Ks. Trubecki rzeczywiście był świadkiem wielu zamieszek i znał dokładnie naturę moskiewskiego narodu. W. książę polecił go natychmiast sprowadzić i okazał gotowość usłuchania jego rad; lecz sposób pojmowania sprawy przez Trubeckiego był wręcz przeciwny Paninowi; mówił on ze śmiałością starego żołnierza, troszczącego się gorliwie o sławę swego monarchy:

— N. Panie! — przemówił książę — środek, do którego doradzają ci uciec się, jest nie tylko niebezpieczniejszym od tego, którym cię straszą, lecz całkiem sprzeciwia się tradycjom państwa moskiewskiego; prawodawstwo nasze jest czysto wojenne, a senat żadnego wpływu nigdy nie wywierał na wybór carów. Czyż większa sława wstąpić na tron, opierając się na ramieniu ciała sądowego, niżeli być wyniesionym od razu na rękach zwycięzkich żołnierzy? — Po cóż ten elekcyjny sejm albo senat?.... Król polski lub szwedzki, mieliżby przewodniczyć wszechrossyjskiemu imperatorowi? Prawdziwie, najwyższą sławą monarchy powinno być tylko sławne panowanie. Postaraj się N. Panie o zasługi, zresztą zaś nie masz potrzeby dbać o prawne (prikaznyje) obrzędy i nie pozwól narzucić sobie opieki ambitnego senatu, który wkrótce nauczy cię żałować pokładanego w nim zaufania. A gdyby na nieszczęście tron twój wzruszył się, czyż będzie miał senat dostateczną siłę do oddania ci go na powrót? Zaczynając zaś od pogardzenia starożytnym zwyczajem, czy nie narazisz sobie żołnierzy, a w skutek tego czy nie będziesz miał powodów istotnie obawiać się ich zemsty?

Lecz w. książę i potem nie mógł zdecydować się i nie wiedział, co ma począć. Błyskotliwa nowość myśli Panina wielce mu pochlebiała, lecz obawa narażenia sobie wojska, odstręczała go od niej. Nie mogąc obmyśleć postanowienia, posłał szambelana do Katarzyny po radę. W. księżna, w której zbliżająca się chwila zgonu Elżbiety obudziła całą ambicję, była zajętą w tym czasie łudzeniem narodu powierzchownem nabożeństwem, którego dotąd nie znała. Ciągle też jeździła po cerkwiach i była na wszystkich nabożeństwach, odprawianych na intencję wyzdrowienia carowej. Panin był na tyle nieostrożnym, że ukrywał przed nią swoje pomysły i ona nic nie wiedziała, jak korzystne były dla niej. Zresztą przez kilka dni była ciągle zajętą pisaniem aktu zwiastującego wstąpienie na tron jej małżonka i ułożeniem roty przysięgi dla wojska; a że pysznila się stylem zręcznym i wymownym, pochlebiała więc sobie, że temi dwoma dokumentami podbije cały naród, dla tego też nie chciała zrzec się swojej pracy, co musiałoby nastąpić, gdyby w. książę zdecydował się na wybór przez senat, ponieważ wtedy sam podałby nową rotę przysięgi. Spiesznie przeto kazała oświadczyć w. księciu, że powinien zastosować się do zwyczaju.

Zaledwo w. książę usłyszał odpowiedź w. księżnej, gdy przybiegli do niego dworscy zwiastując, że Elżbieta umarła.

Carowa umarła 5 stycznia 1762 r. po długiej i ciężkiej chorobie. Panowanie jej trwało dwadzieścia lat i niczem nie będąc wsławione, nie mogło usprawiedliwić wzburzenia, które włożyło na czoło Elżbiety koronę moskiewską. Niesłychanie słabego charakteru, była zupełnie owładniętą przez swych faworytów, którzy na złe używali jej zaufania; zbyteczne wymagania robiły z niej często nieszczęśliwą, niemiłosierną albo i okrutną. Przy wstąpieniu na tron np. zrobiła była wotum, że w przeciągu jej panowania nikt na śmierć nie zostanie skazanym; tymczasem patrzała na to całkiem obojętnie, jeśli sędziowie zamiast uciąć głowę, zabijali pod knutami winowajcę; nadto nigdy nie odcięto tyle języków i nie zesłano tylu nieszczęśliwych na Sybir, ile za panowania tej carycy, tak niesłusznie nazwanej łagodną (krotkoju). Ostatecznie zdolniejszą ona była wlec żywot w murach klasztornych, niżeli siedzieć na tronie, jednej z największych monarchji w świecie. (C. d. n.)

Z życia Rembrandta.

(Dokończenie.)

List ten podpisany był zmyślonem nazwiskiem i zawierał adres do wsi oddalonej o parę mil od Amsterdamu. Rembrandt nie dbał o to, ani o zawartą już umowę, zabrał obraz pod pachę i ruszył w drogę.

Strawił pół dnia na szukaniu mniemanego nabywcy i nakoniec, upadając ze znużenia, wrócił do domu z niczem. W pracowni swojej zastał owego obywatela, który kupił był obraz za 200 florenów. Rembrandt miał wszelako jeszcze nadzieję, że znajdzie się ten, który ofiarował 300, i zmyślił naprędce historję, że wydarzył mu się wypadek, że obraz się popsuł, i że musiał go wrzucić w ogień, ale na jutro gotów jest wymalować drugi podobniuteńki.

— Szkoda, odparł amator, ale pragnąłem nabyć ten właśnie obraz, który się spalił, ale kiedy tak los chciał, to nie chcę pana trudzić, byś pan musiał malować drugi.

Amator odszedł, a Rembrandt otrzymał w krótce drugi list w tych słowach:

„Panie Rembrandt! Złamałeś pan ugodę, powiedziałeś pan nieprawdę, zmęczyłeś się pan na śmierć i straciłeś pan kupca na obraz, a wszystko to dzięki swojemu skąpstwu. Niechaj to panu będzie nauką na przyszłość.“

— Tak, rzekł malarz, spoglądając po swoich uczniach — to jeden z was wypłatał mi tego figla! No, no, daruję wam. Wy smarkacze nie znacie tak dobrze wartości florena, jak ja.

Uczniowie przybijali nieraz drobne monety miedziane ćwiekami do podłogi, i przypatrywali się ze złośliwym uśmiechem, jak mistrz, cierpiący mocno na reumatyzm w krzyżach, schylał się mozolnie i usiłował podnieść szelągi z ziemi.

Rembrandt ożenił się z prostą chłopką bez wykształcenia, która u niego służyła za kucharkę, przypuszczając, że w ten sposób będzie mógł żyć oszczędniej, niż gdyby pojął żonę z wyższych stanów. Jadali też oboje objady złożone z czarnego chleba, śledziów i podpiwku.

Burgomaster amsterdamski Six, człowiek wielkiego światła i zacnego charakteru, był wielbicielem talentu Rembrandta, a nie cierpiał jego skąpstwa. Pewnego razu, gdy mu się malarz skarzył, że obrazy spadły w cenie, Mynheer Six powiedział mu:

— Jaka to szkoda, że nie będziesz pan mógł być własnym swoim podskarbim po swojej śmierci — bo wówczas każdy pański obraz będzie miał wartość potrójną.

Pomysł ten zastanowił Rembrandta. Wróciwszy do domu, położył się natychmiast do łóżka, polecił żonie i synowi swojemu Tytusowi, ażeby kazali nasypać słomy na ulicy przed domem, i ażeby rozgłosili, iż zapadł niebezpiecznie na gorączkę tak niesłychanie zaraźliwą, że lekarze nikogo nie pozwalają wpuszczać do domu. Następnie, rozgłoszono że umarł, a strapiona wdowa poczęła skarżyć się wszędzie, że dla opędzenia kosztów pogrzebu, zmuszona jest sprzedać wszystkie jego obrazy, bo nie zostawił niestety innej własności.

Fortel ten niegodny artysty udał się wybornie. Sprzedano wszystkie obrazy, szkice, rysunki i sztychy za kolosalną sumę, i Rembrandt nie posiadał się z radości. Poczciwy burgomaster Six za to omal nie umarł z przerażenia, gdy nagle zmarły artysta — zabrawszy oczywiście pieniądze, pojawił się w drzwiach swojej pracowni. Rembrandt musiał mu dać słowo, że na przyszłość nie dopuści się więcej podobnych figlów.

Zdarzyło się wszakże, że Rembrandt bywał mniej chciwym pieniędzy. Pewnego razu malował grupę złożoną z członków bogatej bardzo rodziny obywatelskiej w Amsterdamie. Obraz był już na ukończeniu, gdy dano znać Rembrandtowi, że jego ulubiona małpa spadła z dachu na bruk i zabiła się na miejscu. Nie odrywając się od roboty, Rembrandt począł lamentować głośno, a za chwilę oświadczył, że obraz gotów. Cała godna familja Mynheerów przystąpiła, ażeby oglądać arcydzieło, i — o zgrozo! pomiędzy najstarszą córunią a najmłodszym synalkiem patrycyuszowskiego rodu, ujrzano wierny konterfekt nieboszczki małpy. Holenderczyny zaprotestowali uroczyście przeciw wprowadzonemu w ich kółko rodzinne temu nadliczbowemu członkowi, i żądali kategorycznie, ażeby go artysta zamalował lub wyskrobał.

— Co? rzekł Rembrandt. Zamalować lub wyskrobać najpiękniejszą figurę w całym obrazie? Za nic! Wolę zatrzymać obraz dla siebie.

I pomimo próśb i nalegań, nie oddał obrazu.

O stylu Rembrandta powiedziano słusznie, że malował światłem, bo nieraz wskazywał przedmioty jedynie cieniem, jaki od nich padał na ścianę. Nieraz miejsce oświetlone raczej kazało domyślać się ręki, lub głowy, niż ją określało — a pomimo to, nie ma nic mglistego ani nieokreślonego w jego obrazach, i oko od razu zdoła uchwycić rysunek. Pracownia jego składała się z okrągłego pokoju, oświetlonego kilkoma wązkiemi szczelinami w ścianach, tak rozłożonemi, że światło zawsze tylko przez jedną z nich padało do środka, i sprawiało tym sposobem owe dziwne efekta, które widzimy w jego obrazach. Pokój ten zapełniony był staroświeckiemi gratami, i wyglądał w skutek tego jak muzeum. Starożytne sprzęty i zbroje, materje o jasnych i przepy-

sznych barwach, ułożone tam były w pozornym nieładzie, ale Rembrandt umiał właśnie układać je tak, by mu dawały efekta, których potrzebował. W tem ścisłem trzymaniu się i podpatrywaniu natury leżała tajemnica jego sztuki. Szczególną jest rzeczą, że najulubieńszym jego uczniem był Gerard Dow, który posiadał styl zupełnie odmienny od niego, bo dążył do jak największej dokładności w konturach, zatykał dziurki od kluczów, aby mu najmniejszy pyłek nie upadł na paletę, i szukał np. chluby w tem, że umiał wymalować jak najwierniej kocioł świeżo pobielany.

Rembrandt umarł w r. 1674 w Amsterdamie, licząc lat 68. W tem mieście przepędził całe życie. Niektórzy jego bjografowie twierdzą mylnie, jakoby kiedykolwiek zwidzał Włochy. Uwiodło ich słowo: *Venetiis*, umieszczone na niektórych jego obrazach. Położone ono było umyślnie, ażeby w Holandji mniemano, że wyjechał z kraju i osiadł we Włoszech, co oczywiście podnosiło cenę jego obrazów. Dziwny to i smutny widok tak potężnego genjuszu połączonego z tak prostackiemi przymiotami. Złota głowa na nogach z błota.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XVI.

Moralny skutek polowania.

Rezultat upolowanych słoniów stał się dla nas nadzwyczaj korzystnym, chociaż zupełnie przyszedł niespodziewanie. Odgłos armaty, usłyszany o kilka mil przez mieszkańców okolicznych, obudził ich ciekawość, to też ze wszystkich stron otaczające wzgórza okryły się na raz tłumami krajowców, którzy przypatrując się naszemu polowaniu, ujrzeli zarazem i zdobycz. Wkrótce Barysi z Bedden zbiegli się gromadą do naszego obozu, a uszczęśliwieni otrzymanem pozwoleniem wzięcia sobie mięsa, puścili się natychmiast brzegiem rzeki do miejsca, gdzie dwa olbrzymie trupy wydobyto. Zaraz po powrocie do obozu wysłałem okręt, dla zabezpieczenia sobie głów, rzadko bowiem można mieć sposobność uzyskania całkowitych czaszek słoniów, i właśnie przybyły szczęśliwie, gdy krajowcy rzucili się na poległe zwierzęta, do czysta oporządzając je z mięsa.

Jednocześnie ogromne tłumy naszych nieprzyjaciół z wysokości pobliskich gór, przypatrywały się Barysom z Bedden, którzy jak sępy obległi brzeg rzeki i wdrapując się na wierzch dwóch poległych kolosów, kłócili się nad ich szczątkami. Pokusa była nadto wielka żeby się jej oprzeć; ślina biegła im do ust na widok czerwonych kawałów mięsa, które szczęśliwi rywale unosili na głowach. Zaraz też po południu zjawił się od nich posłaniec z oznajmieniem, że jeden z szejków życzy sobie widzieć się ze mną w zamiarze zawarcia przymierza; zaledwie się oddalił, unosząc przyzwalającą odpowiedź, gdy zbiegła się cała gromada posłów, prosząc również o przyjęcie ich naczelników, wszyscy bowiem życzą sobie pokoju.

Następnego dnia z rana odbyła się ogólna recepcja. Około dwudziestu szejków, znaczniejszych osad przybyło w otoczeniu swoich ludzi, prosząc o zaprzestanie wojny. Przyjąłem ich na pokładzie okrętu, obdarzając każdego długą niebieską koszulą i kilku funtami paciorków; poczem nastąpiło zwykłe rozwodzenie się nad przeszłemi wypadkami i przyrzeczenie przyjaźni na przyszłość; co wszystko zakończono prośbą o mięso ze słoni, gdyż to było jedyną pobudką całych tych układów. Po otrzymaniu pozwolenia, rozbiegli się posłańcy, aby oznajmić radosną wieść wyczekującym mieszkańcom, i wkrótce na szczątki dwóch słoni, wdrapywała się gromada ludzi, jak hurma czarnych kotów, oporządzająca swoją ofiarę.

W ten sposób za kilkanaście funtów mięsa został zawarty pokój, chociaż kilka tygodni temu ci sami ludzie, odrzucili moją propozycję, wymiany swego zboża za moje krowy. W przeciągu miesiąca utraciwszy kilkuset ludzi, znaczne zapasy ziarna, zbiegli się prosić o pokój w jedynym celu uczestniczenia w rozszarpywaniu zabitych słoni. Afrykańscy murzyni są dziwnie nielogicznym narodem, i nie dadzą się osądzić ze stanowiska zwykłego poglądu na ludzką naturę; najlżejszy powód wzbudza w nich gorące pragnienie rzeczy, którą z całą lekkomyślnością dziecka w danym razie zdolni są odrzucić, ponosząc częstokroć wielką przytem szkodę.

Zachęceni przykładem swoich sąsiadów, szejki z odległych wsi co dzień przybywali do mnie w zamiarze zawarcia przyjaznych stosunków, przyobiecując mi transportowanie moich bagaży w głąb kraju, jeżli w dalszą puszczę się wyprawę, a wszystko w nadziei, że im pozwolę oporządzić do reszty szkielety słoni.

To ubieganie się za mięsem mogłoby nasunąć myśl, że Barysi małe posiadają stada; gdy przeciwnie cała okolica obfituje w tłuste i piękne bydło. To pragnienie mięsa pochodzi ztąd, że mieszkańcy nie lubią zabijać swoich krów, hodując je dla mleka, a woły dla krwi. Co pewien bowiem przeciąg czasu każda sztuka musi podlegać puszczaniu krwi, z której gotują rodzaj zupy podobnej do czarnej polewki, użytkując tym sposobem pokarm zwierzęcy bez konieczności zabijania bydła. Umieją sobie również w inny sposób radzić, co naszym cywilizowanym czytelnikom zdało się tak nieprawdopodobnem, że podróżnik Bruce został zdyskredytowany, jedynie przez opisanie faktu sekcji dokonanej na żywej krowie, którego był naocznym świadkiem. Rzeczy te dzieją się jednak i sam miałem ślicznego wołu z garbem noszącym znaki przez całą szerokość; należał on pierwotnie do handlarskiej kompanji, i mieszkańcy tamtejsi zaręczali mi, że kilka razy był operowany. Ci ludzie bowiem mieli zwyczaj wycinania tych garbów ze zręcznością chirurgów, jako najdelikatniejszej części mięsa, która narastała póżniej w tej samej wielkości po każdem odjęciu.

W powrocie do Gondokoro dokonanym 1. listopada, zwidziłem jeszcze jedną część kraju odległą tylko o sześć mil od mego głównego obozu. Okolica ta obfituje w kamień bardzo przydający się do budowy; uzyskawszy więc od tamtejszego szejka przyrzeczenie znacznej dostawy tegoż kamienia, rozstałem się z nim bardzo przyjaźnie, a na drugi dzień byliśmy już w Gondokoro.

Wojna z plemieniem Bary była szczęśliwie zakończona i krajowcy z całej okolicy nauczyli się drżeć przed naszą bronią, i mieć uszanowanie dla koni, o których rozpowiadali sobie dziwne rzeczy, nabrawszy przeświadczenia, że żadne stado bydła im nie ujdzie. Wszystkie moje nadzieje pokojowe ziściły się nareszcie; spaliśmy odtąd bezpiecznie, nie budzeni nocnemi napadami i żołnierze wypocząwszy po wojennych trudach, mogli teraz do różnych zajęć być użyci. I tak pułk „Czterdziestu“ pracował właśnie nad zbieraniem i warzeniem soli. O milę od mojej stacji znajdowała się dość szczególna powierzchnia solna, nad mulistemi brzegami jeziora, przepełnionego krokodylami. Po silnej ulewie, kiedy wilgoć wyparowała pod słońcem, ukazywała się sól, którą razem z piaskiem i innemi nieczystościami, zbieraną szerokiemi muszlami, składaliśmy do glinianego naczynia. To naczynie zawierające pięć garncy, miało dno przedziurawione i pokryte skręconą wiązką słomy; po napełnieniu go solą zmięszaną z piaskiem, polewało się wszystko od czasu do czasu czystą wodą, a ściekający płyn ugotowany wydawał najczystszy chlor sodium.

Produkta, jakiemi natura uposażyła okolicę Gondokoro są: sól, żelazo, gatunki drzew tamaryndy i orzecha oliwnego, a płody uprawiane przez krajowców: konopie (*Hibiscus*), tytuń, kilka odmian fasoli, sesamé i dura. Starałem się zachęcić krajowców do uprawiania w większej ilości Hibiscusa, który dowieziony do Sudanu, stałby się bardzo cennym produktem; krajowcy, jakem to już wyżej wspominał, jedzą jego nasienie a łodygi używają na sznury i sieci do łowienia ryb. Drzewo tamaryndy (rodzaj szerokolistnej akacji) znajduje się w dwóch odmianach, i znaczne przestrzenie lasu są zarosłe tym wspaniałym okazem budulcu. Bardzo często napotykałem również drzewo zwane u Arabów *Heglik* (balanites Egyptiaca) wydające owoc podobny do daktyli, słodko gorzki i bardzo aromatyczny. Gdy moi ludzie zebrali mi tego owocu kilka korcy, zrobiłem próbę dystylacji i osiągnąłem doskonałą wódkę, przypominającą kirschwasser.

Słonie są bardzo łakome na ten owoc i aby go dostać wyrywają drzewa średniej wielkości, osiągając zdobycz, która jest nic nieznaczącą dla kolosalnego ich żołądka. Zdarzyło mi się nawet, że sam byłem świadkiem poszukiwania tych zwierząt za owocami heglika.

Zapuściwszy się razem z porucznikiem Baker w las w okolicy Schir, o kilka mil od naszych okrętów, za kozłami, doleciał nas z daleka właściwy szelest oznajmiający pochód tych zwierząt. Nie będąc zaopatrzeni w stosowną broń (nasze dubeltówki były bez znaczenia na taką zwierzynę), usunęliśmy się bardzo oględnie w miejsce wyniosłe i o 150 kroków oddalone. Wkrótce ukazały się słonie wychodzące z różnych stron gęstwiny na więcej otwartą przestrzeń lasu, gdzie jeden z nich kolosalnej budowy, kroczył prosto ku nam, zatrzymując się u stóp dużego i rozłożystego heglika. Drzewo miało 3 stopy w średnicy, a 30 stóp wysokości od podstawy do pierwszej gałęzi; było zatem niepodobieństwem dla słonia dostać upragnione owoce. O wyrwaniu drzewa z korzeniem nie było mowy, i żadna siła zwierzęca niedokazałaby tego. Słoń namyślał się jakiś czas przypatrując owocom, poczem zbliżywszy się oparł czoło o pień. Zaledwie mogłem uwierzyć oczom moim widząc drzewo całe poru-

szane z taką siłą, że gdyby jaki człowiek miał był myśl schronienia się przed słoniami na jego wierzchołek, nie wiem, czyby się zdołał na niem utrzymać. Każda gałęź trzęsła się z osobna upuszczając owoce, które spadały w obfitości. Słoń wyzbierał je potem uważnie, z podziwienia godną cierpliwością.

W pobliżu tego samego miejsca miałem na drugi dzień niespodzianą rozprawę z hipopotamem. Wracając z lasu, skierowałem się ku brzegom rzeki i obszedłszy duży krzak cierniowy, znalazłem się nagle na przeciw dużego hipopotama, który opuściwszy rzekę dla rannego spaceru, zajęty był właśnie żuciem jakiejś soczystej trawy, nie zważając zupełnie na moje przybycie. Nieszczęście chciało, żem stał właśnie bokiem do niego, co mi dawało tylko strzał w ciemię, miejsce najtwardsze u hipopotama; miałem z sobą odtylcową broń, a Monsor towarzyszący mi niósł karabin; byliśmy więc bardzo źle uzbrojeni. Nie namyślając się jednak wypaliłem o jakie piętnaście kroków, mierząc w ucho; skutek strzału był żaden; potwór potrząsł głową i był więcej zdziwiony jak uszkodzony. Wymierzyłem z drugiej lufy i dałem ognia; Monsor idąc za moim przykładem także wystrzelił dwa razy, poczem zabraliśmy się do strzelania raz po razu, z takim samym rezultatem, jakbyśmy przed sobą mieli tarczę do celu. Po niejakiej chwili, hipopotam jakby nagle obudzony odwrócił się tyłem do nas, i wlazł w gęste zarośla. W tym samym prawie czasie ludzie na okrętach usłyszawszy powtarzające się strzały, myśląc żeśmy zostali z nienacka przez krajowców opadnięci, ruszyli nam w pomoc. Wkrótce też usłyszałem zbliżające się głosy podążających w całym pędzie żołnierzy. Hipopotam tymczasem wyszedł ze swego ciernistego schronienia, i pomału zbliżał się do brzegu rzeki, gdy został w swym pochodzie zaskoczony przez moich ludzi. Potwór stanął. Wszystkie karabiny zostały kolejno do niego wystrzelone ze skutkiem kamieni rzucanych na materac, a hipopotam służąc tak jakiś czas za tarczę, kule bowiem nie były dość silne, by przebić grubą jego skórę, zbliżył się nareszcie z najzimniejszą krwią nad skalisty brzeg, wystający o jakie ośmnaście stóp nad poziom wody, i w jednej chwili zniknął z przed naszych oczów w bałwanach.

W okolicach Gondokoro ryby są również w wielkiej obfitości, szczególniej gatunek okoni, które znajdują się w dwóch odmianach: jeden mniejszy nie ważący nigdy więcej nad pięć funtów, podczas gdy drugi często dochodzi do ogromnych rozmiarów. Wiadomą jest rzeczą, że te same gatunki ryb różnią się smakiem i delikatnością mięsa, stosownie do wody w jakiej się znajdują; tak samo i gatunek okoni złowiony w niższym Nilu, jest prawie nie do jedzenia, a natomiast wybornym jest on z górnej części rzeki, i podróżnicy częstokroć niesłusznie potępiają pewien gatunek z powodu, że go w niestosownej jedzą porze, lub z niewłaściwej wody. Nie zdarzyło mi się spotkać ryby słodkich wód, lepszej w smaku jak wzmiankowane mniejsze okonie, jeżeli trochę posolone wiszą potem kilkanaście godzin nad małym dymem.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Wieczne Śniegi.

(Dokończenie.)

Takim idylicznym rajem pośrodku wiecznego śniegu i lodu jest tak zw. „Ogród podbiegunowy“ na Górze Białej (Montblanc) w wysokości 8.780 nad powierzchnią morza: jest to łąka 2.549 stóp długa a 956 stóp szeroka. Ten zielony kobierzec, którego barwa dziwnie odbija od otaczających lodowców, posiada 87 rodzajów kwitnących roślin, z których 8 znaleziono na Szpicbergach, a 24 w Laplandji. Z środka łąki wytryska źródło i tworzy mały strumyczek. Jeżeli szczęśliwy podróżnik znajdujący się na tej cudownej oazie, przedstawi sobie w wyobraźni morze obmywające stopy amfiteatru, będzie mógł myśleć, że ma Szpicbergi przed sobą. Ponieważ temperatura i wilgotność powietrza zmieniają się co roku, musi to wpływać na obniżenie i podnoszenie się linji śnieżnej. Bardzo zimne i mokre lata zniżają ją, a przeciwnie gorące i suche podnoszą. W Alpach zauważano, że chwiejność linji śnieżnej wynosi kilkaset stóp, a raz nawet wynosiła 1.300 stóp.

Właściwie nazwa „wiecznego śniegu,“ jakkolwiek powszechnie używana, nie jest słuszną. Śnieg na miejscu, gdzie upadł, nie zostaje na wieki. Gdyby tak było, wtedy masy śniegu musiałyby dojść do olbrzymich rozmiarów, a tem samem coraz niżej opadać, gdy tymczasem najnowsze doświadczenia i obserwacje okazują, że regjon śnieżny w naszych górach coraz się zmniejsza. Stosuje się to nawet do wnętrza Grenlandji, którą przedstawiano sobie dotychchzas jako krainę, w której nic nie ma oprócz lodów i śniegu. Członek austrjackiej wyprawy podbiegunowej, porucznik Payer, który zna dokładnie Alpy, utrzymuje, że w Grenlandji to, co nazywamy granicą wiecznego śniegu, znajduje się dopiero w wysokości 3.000 do 4.000 stóp. Wśród lata góry tam są zupełnie wolne od śniegu, tak jak w Alpach; wyjątek stanowią tylko regiony lodowców, które w porównaniu z całością lądu są nieznacznemi, jakkolwiek w stosunku do lodowców Alpejskich, przedstawiają się jako nadzwyczaj rozległe. Podczas gdy t. zw. morze lodowate na Montblanc jest tylko $1^1/_2$ mili długie, a lodowiec Alet wynosi trzy mile, znachodzą się w Grenlandji ławy lodów 10 mil długie. Przy tem głębokość śniegu w północnych zaspach w skutek ciągłych zawieruch prawie nie do pojęcia. Payer musiał w sierpniu zaniechać zamiaru dostania się na pewną górę 7.000 stóp wysoką, ponieważ doszedłszy do 6.000 stóp, zniknął w śniegu niby w powodzi. Narzędzia miernicze okazały się niedostatecznemi do wysondowania głębokości śniegu. Podczas gdy lodowcowe źródła w Alpach tworzą tylko nikłe poniki, w Grenlandji dają one życie wielkiej ilości znacznych strumieni, które z hałasem wypływają z ogromnych lodowych czeluści.

W Alpach masy lodów, które z czasem z wiecznego śniegu powstają, zmniejszają się przez to, że deszcz, a po części woda powstająca z topienia w nie wpada, a marznąc na nowo przemienia się w stałą masę. Masy te posuwają się ciągle na dół, a doszedłszy pod linję śnieżną, w takie regiony, gdzie jest dostateczne ciepło, tają. Mimo to lodowce nie giną, ale coraz nowe zesuwają się na doliny, albowiem otrzymują coraz nowe zasiłki z ław śnieżnych położonych w wyższych strefach. W ten sposób coraz to nowe masy lodu musi słońce topić. Zdaleka lodowce wyglądają jakby śnieżne rzeki, spływające z gór na doliny, i w rzeczywistości są one zlodowaciałemi strumieniami, które sprowadzają śnieg górski na doliny, a następnie do morza. Naturalnie poruszenie ich jest bardzo powolne i wynosi na dzień kilka cali, a najwięcej kilka stóp, a przytem jest niejednostajne. I tak np. lodowiec lautczaryjski od r. 1827 do 1836 odbył drogę 2.200 stóp, w następnych zaś trzech latach przyspieszył biegu i posunął się o drugie tyle.

Jednak mimo tego powolnego posuwania się, zauważeno, że masy lodów w górach ciągle się zmniejszają. Liczne pokłady z kamieni, które opadłszy z pobliskich skał na lód, z nim razem zesunęły się, a po stajaniu jego pozostały, świadczą, że dawniej kraina lodowców musiała mieć daleko większą rozległość. Wiemy nawet, że podczas epoki trzeciorzędnej, która daleko poprzedziła czasy historyczne, cała Europa, do Hiszpanji, do Włoch pokrytą była lodem. Teraźniejsze lodowce są tylko pozostałością owych czasów i zmniejszają się z każdym dniem: zmniejszanie się to postępuje bardzo szybko, albowiem zasób zimna pozostały z epoki lodowców ciągle się zużywa. Z tem wszystkiem jednak zupełne zniknienie lodów na naszych górach, należy do dalekiej przyszłości.

Podobne spostrzeżenia uczynili w Grenlandji uczeni uczestnicy austrjackiej wyprawy podbiegunowej. Tak samo jak w innych krajach Europy istniała tutaj w odległej przeszłości epoka lodowa, a istniejące obecnie lodowce są tylko jej pozostałościami. Wielka i nadzwyczej ważna dla nauki, 50 milowa podróż sankami, którą odbył Payer w wnętrze Grenlandji, przyniosła niezbite dowody, że lodowce Grenlandzkie, tracą coraz więcej ze swojej pierwotnej potęgi.

W Alpach giną lodowce skoro tylko dostały się do okolicy, której przeciętna temperatura roczna wynosi plus 5° C. Podobny regjon nie istnieje w Grenlandji; mimo to jednak lodowce zmniejszają się z każdym rokiem, albowiem strumienie lodowe sięgają aż do morza i w nie wpadają. Jak wysoko sięgają pokłady śniegu i lodu w niedostępnych górach, tego nie wiemy. Można jednak przypuścić, że w pewnej wysokości z powodu rzadkości atmosfery i ubóstwa powietrza w parę wodną, śnieg się tworzyć nie może, ale zarazem nie wiemy, czy jakie góry na ziemi sięgają aż do tych regjonów. Natomiast zdaje się, że gęsta zasłona tajemnic, okrywająca kwestję wiecznego śniegu, w innym kierunku zostanie odsłoniętą. Wszystko wskazuje, że kraina lodów na naszych górach nie była równoczesną z ich powstaniem, ale że się dopiero z czasem wyłoniła. Z tego powodu zrodziło się pytanie, jak wyglądała ziemia, obecnie pokryta wiecznym śniegiem i lodem przed czasem ich powstania? Jeżeli pierwsze spadnięcie śniegów, które utworzyło obecną krainę lodów, nastąpiło raptownie, w takim razie śnieg ten musiał pogrzebać wiele roślin i zwierząt, które w ówczas w tych okolicach się znajdowały. Ponieważ śnieg i lód posiada własność zachowywania ciał organicznych od zgnilizny, jest więc nadzieja, że znajdują się one i teraz jeszcze pod powłoką lodową. Wszak i teraz jeszcze znachodzą w lodach podbiegunowych mamuty okryte skórą i włosami, a mięso ich jest tak świeże, jakby dopiero wczoraj zostały pogrzebione. Zbadanie więc kwestji w jaki sposób utworzyła się kraina lodów, zależy wyłącznie od badań na wysokich górach.

Potężnym bodźcem do takich badań powinien być urok odkrycia tego, co dotychczas dla nas było niewiadomem. Jak otchłań morza, tak samo i kraina lodów ukrywa pod swoją płaszczyzną wiele tajemnic: zbadanie jej może rozświecić nie jedną zagadkę geologiczną a niejedną coc ciemną wyprowadzić na światło dzienne. Zbadanie kwestji, kiedy powstała kraina lodów, jest tak samo ważnem dla historji naszego planety, jak i zbadanie głębi morza, na które w ostatnich latach wielką zwrócono uwagę.

Do wygnańca.

Przez chwilę braterskie ścisnęliśmy dłonie,
Przez chwilę spocząłeś na ziemi twej łonie,
Pierś słońcem ogrzałeś ojczystem!
I znów cię jej sercu gwałt wydarł przemocy,
I tęsknej twej duszy wichr tylko północy
Zajęknął rozstaniem wieczystem!

Lecz skarga nie naszej przystoi boleści!
Dla dumy Polaka jęk żalu niewieści
O! byłby bluźnierstwem i grzechem!
My do dna pijemy z kielicha trucizny
I wszystko składamy na ołtarz ojczyzny
Z niebiańskim spokoju uśmiechem.

Bo po tej najświętszej, bo po tej ojczyźnie,
Niezłomną my wiarę przyjęli w spuściźnie,
Co drogą nas wiedzie promienną, —
Bo wiemy, że jasna źrenica Wszechmocy
Ponad te otchłanie zwątpienia i nocy
Tam, prawdą nam świeci niezmienną!

Więc dzisiaj z skrwawionych męczeńskich wawrzynów
Z jej ofiar serdecznych i świętych jej czynów
Koronę wijemy na skronie.—
Bo przyjdzie dzień wielki, gdzie ciemność grobowa
Przed blaskiem jej pierzchnie i nasza królowa
Sztandarem tryumfu powionie!

I tyś, o nasz druhu! ze skroni zranionej
Wplótł jeden cierń jasny do jasnej korony
Co czoło uwieńczy tej matki!
Więc niech ci to gwiazdą pociechy zaświeci
Wśród głuchej tęsknoty — wśród śnieżnej zamieci
Pod niebem posępnem Kamczatki!

Grudzień 1874. *Marja B.*

Pogadanki.

XXXII.

Galicja poniosła stratę, która wywołała żal tak powszechny i szczery, jak to się jeszcze nie wydarzyło za naszej pamięci. Najwięksi przeciwnicy ś. p. hr. Gołuchowskiego, teraz, gdy go nie stało, czują i wypowiadają głośno, że śmierć jego jest klęską dla kraju, który po części jest nieporadnym, a po części wmówił w siebie lub dał wmówić, że nim jest i być musi. Nietylko zresztą w Galicji, ale we wszystkich dzielnicach polskich katastrofa ta sprawiła bolesne wrażenie. Naród, który przez sto lat wysila się, by rządzenie uczynić trudnem lub niemożebnem, czuje że mało ma ludzi, którzyby rządzić umieli, i że w hr. Gołuchowskim stracił coś więcej, niż urzędnika austryjackiego.

Wychodziłoby to po za zakres *Tygodnia*, gdybym chciał rozbierać tutaj działalność polityczną zmarłego, jakkolwiek należącą już do historji. O człowieku, sąd jeszcze za wczesny w chwili pogrzebu. Mówmy o Polaku.

Gdyby patrjotyzm polegał jedynie na udziale w samoistnym ruchu narodowym, wypadałoby powiedzieć, że hr. Gołuchowski nie był patrjotą. W takim razie atoli musielibyśmy odsądzić od tej cnoty tych wszystkich, którzy bądź w polskiej, bądź w obcej służbie rządowej lub wojskowej nawykli do pewnego z góry zorganizowanego ładu, do karności i surowego przestrzegania form, regulaminów i przepisów. Tacy ludzie także kochają swój kraj, i nie wyrzekają się swojej narodowości, ale w chwilach owego samoistnego ruchu narodowego bywają jego przeciwnikami, dla tego jedynie, że nawykłszy do maszynerji we wszystkich szczegółach uregulowanej, nie wierzą w powodzenie usiłowań, którym brak tej organizacji. Wszak w r. 1830 wszyscy nasi starzy jenerałowie, a w gruncie, wszyscy członkowie rządu, z małemi wyjątkami najprzeciwniejszymi byli ruchowi, i im to przypisać należy, że zamiast wojny rewolucyjnej w całem tego słowa znaczeniu, prowadziliśmy wojnę regularną. Niektórzy chcieli nawet, ażeby król Mikołaj wojował z imperatorem Mikołajem. Któż pomimo to powiedzieć się ośmieli, że np. Chłopicki nie był dobrym Polakiem? Różne zapatrywanie się na środki działania, nie wyklucza toż samości celu.

Takim konserwatystą, wychowanym w szkole austryjackiej, był śp. hr. Gołuchowski, ale Polakiem nigdy być nie przestał. Zapewne, że gdybyśmy wszyscy poszli tą drogą, idea nasza narodowa zniknęłaby wkrótce z widowni świata. Lecz z drugiej strony, gdybyśmy choć w obcej służbie, nie mieli urzędników, sędziów, oficerów, zkądbyśmy ich wzięli, gdy się zdarzy sposobność, że ich potrzeba? Miewaliśmy wprawdzie nieraz bardzo zręcznych dyletantów w każdym z tych zawodów, ale *à la longue* dyletantyzm okazał się i okaże się zawsze niewystarczającym. Być sądzonym, prowadzonym w ogień, lub administrowanym przez dyletantów — szczególniej to ostatnie — jest prawdziwem nieszczęściem, dla jednostek i dla ogółu. Galicja w danej chwili znalazła hr. Gołuchowskiego, i z każdym rokiem uczyła się bardziej cenić jego zasługi, bardziej pojmować, że służąc Austrji, i to służąc jej w sposób jednający mu jak największe względy i uznanie ze strony monarchy, działał skuteczniej a często usilniej od innych w interesie sprawy naszej, sprawy narodu, do którego się liczył. Zarzuty, które mu czyniono, wynikały z powodów, powyżej wyłuszczonych. Między innemi, nie lubił wychodźców z innych ziem polskich, i był czas, gdzie radby był może zabronić im zupełnie pobytu w Galicji. Z niedawnej historji kraju można przytoczyć fakt, że Towarzystwo Opieki Narodowej uzyskało pozwolenie zawiązania się w chwili, gdy hr. Gołuchowski nie był na czele rządu krajowego. Niechęć ta jego wszakże była tylo niechęcią konserwatysty, zwolennika absolutnego ładu, ku żywiołom które podejrzywał o usposobienie niespokojne, i względem których żywił obawę, iż wywołując chaos dążeń i żądań u dołu, sparaliżują to, co się da z góry zrobić dla kraju. Gdyby był namiestnikiem, nie cesarza austryjackiego, ale króla polskiego we Lwowie, byłby równie bacznie i z większą jeszcze może niechęcią ścigał i usuwał żywioły, o których miał takie wyobrażenie.

Stosunek jego pierwotny do tak zwanej kwestji ruskiej, o ile mi wiadomo, dostatecznie nie wyjaśniony, dał także powód do zarzutów, które mu czyniono. To pewna, że od czasu gdy spostrzegł, że nie o pielęgnowanie zaniedbanej narodowości chodzi, ale o przenarodowienie, stał się przeciwnikiem wyznawców Azbuki. I tak gdy jedni zarzucali mu, iż wynalazł Rusinów, drudzy jęczeli, że ich wytępia. Najlepszymi zawsze świadkami polskich uczuć hr. Gołuchowskiego pozostaną nieprzyjaciele nasi, którym był solą w oku, i nie bez kozery.

Językiem ojczystym władał wybornie, mimo niemiecko-francuskiego wychowania, jakie otrzymał. Przemówienia jego publiczne odznaczały się rzadką łatwością i gładkością wygłoszenia. Literaturę polską znał i cieszył się jej wzrostem, ale literatów, z małemi wyjątkami, lubił zaledwie trochę więcej, niż wychodźców. Należał do założycieli *Dziennika Polskiego*, ale redakcja tego pisma była mu zawsze pod pewnym względem „politycznie podejrzaną“ i w niewielu tylko punktach zgadzał się z jego kierunkiem. Wielką jego zasługą jest, iż dochodów urzędowej *Gazety Lwowskiej*, płynących z ogłoszeń urzędowych i sądowych, użył ku podniesieniu literackiej wartości tego pisma, dając wielu pisarzom uczciwy i spokojny sposób do życia — chociaż w zmienionych warunkach, dar ten zrobiony krajowi może mieć wartość nader wątpliwą. Z jego także polecenia wydał śp. Adolf Rudyński „Kodeks dyplomatyczny wielicki,“ zawierający facsimilia starych dokumentów. Najwięcej wszelako zrobił śp. hr. Gołuchowski dla oświaty i przyszłości kraju a tem samem, dla jego piśmiennictwa, zajmując się gorliwie szkołami. Pod jego auspicjami i głównie dzięki jego osobistej działalności, wszystko w tym kierunku zmieniło się w ostatnich latach do niepoznania, i jeżeli kraj potrafi zachować i rozwinąć poczynione tu zdobycze, przyniosą mu one korzyść nieocenioną. Zasługi hr. Gołuchowskiego w tej jednej gałęzi są tak wielkie, że jeżeli dynastja austryjacka traci w nim wiernego sługę, kraj jako taki, nieodżałowanego administratora i pod pewnym względem rękojmię znośnej doli to należy mu się na trumnę i najpiękniejszy ze wszystkich, wieniec zasługi patryotycznej.

* * *

A *propos* śmierci i wieńców, może to kogo zmartwi, że na moim niewykopanym jeszcze grobie za ostatnią „Pogadankę“, *Gazeta Narodowa* złożyła przed czasem wieniec z pokrzyw i innych szkaradnych chwastów, rosnących tak bujno w jej ogrodzie. Nawet *Tydzień*, jako osobę moralną, jakkolwiek nie doznającą nigdy jej łaski, umyła naprędce na biało, ażebym się tem czarniejszym wydawał. Wszystko to niby w obronie zjazdu lekarzy i przyrodników, który nikogo z pewnością więcej niż mnie nie ucieszył, i którego nikt nigdzie nie zaczepiał — w istocie zaś, w obronie pomysłu sprowadzenia do Lwowa panny Gallmeyer z jej towarzystwem. Ponieważ atoli był to tydzień, w którym fałszowano w dziennikach nawet sprostowania urzędowe, więc *Gazeta* musiała spróbować, czy potrafi wyrównać *Deutsche Zeitung* w bez....względności. Gonitwa nie udała się jej wprawdzie tak, jak „Przedświtowi,“ ale był to *a dead run*, tj. *Gazeta* i *Zeitung* razem stanęły u mety. Ot, Bogu dzięki, że się ludzie dowiedzieli, iż jeszcze żyję, i że gdybym pękł ze złości, *Tydzień* pozostałby „pismem zkądinąd zasługującem na uznanie.“ Ale nie mam zamiaru pęknąć, i owszem, pragnę jeszcze długo pozostać czarną plamą na widnokręgu *Tygodnia*, a *Gazeta* sama niech sobie pęka.

Na złość jej utrzymuję, że *Szczutek* nie jest zdrajcą sprawy ojczystej, a panny Gallmeyer nie potrzeba we Lwowie — *und wann's Ihna nit recht is, so klagens mich bei der Polizei!* Taj tylko.

Jan Lam.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XXI.

(Ciąg dalszy.)

(Kilka stopni poniżej zera. — Zbadanie części bagnistej południowo wschodniej. — Kulpesy. — Widok morza. — Rozmowa o przyszłości Oceanu Spokojnego. — Bezustanna praca wymoczków. — Co się stanie z naszą ziemią? — Polowanie. — Błota Tadornów.)

Od tej chwili nie minął dzień, ażeby Pencroff nie wybrał się odwidzić miejsca, które nazywał poważnie swoim „łanem zboża.“ A biada owadom, co się tam zapędziły! Nie było dla nich łaski ani przebaczenia.

Pod koniec czerwca po nieskończenie długich deszczach, powietrze się stanowczo oziębiło, i 29 tego miesiąca termometr Fahrenheita wskazałby niezawodnie już tylko dwadzieścia stopni powyżej zera.

Nazajutrz, 30 czerwca, który to dzień odpowiada 31 grudnia na półkuli północnej, przypadał piątek. Nab zauważył, że stary rok się kończy fatalnym dniem, ale Pencroff odpowiedział mu, że tym sposobem naturalnie nowy rok od pomyślnego się zaczyna;— co ważniejsze.

W każdym razie zaczął się ten rok od bardzo ostrego zimna. Lodowce nagromadziły się przy ujściu „Dziękczynnej“ i wkrótce jezioro zamarzło na całej przestrzeni.

Musieli kilkakrotnie odnawiać zapas paliwa. Pencroff nie czekał, aż cała rzeka zamarznie, ale pospieszył się z dostawieniem olbrzymich ładunków drzewa. Prąd rzeki był niestrudzoną dźwignią, używali go też do spławiania drzewa, dopokąd nie stanął lodem. Do paliwa, dostarczonego tak obficie przez las, dołączyli jeszcze znaczną ilość wózków węgla ziemnego, po który chodzić było potrzeba aż do podnóża ścian góry „Franklina“. Potężne ciepło tego materjału godnie ocenili nasi osadnicy przy niskim stanie temperatury, która 4 lipca spadła do ośmiu stopni Fahrenheita. Urządzono drugi komin w jadalni i tam wszyscy pracowali razem.

W czasie tego perjodu zimna, Cyrus Smith mógł powinszować sobie, że sprowadził aż do Granitowego Pałacu mały strumyczek wody z jeziora Granta. Woda ta wypływająca z pod lodowej skorupy, przeszedłszy przez dawny upust, zachowywała całą płynność swoją i przybywała do zbiornika wewnętrznego, wykutego w rogu tylnego składu, — zkąd znowu nadmiar jej odpływał przez studnię do morza.

Około tego czasu, korzystając z nadzwyczajnie suchego powietrza, osadnicy ubrani jak można było najlepiej, postanowili poświęcić dzień na zbadanie części wyspy, w stronie południowo wschodniej, pomiędzy „Dziękczynną“ a przylądkiem „Ostrego Szponu“. Była to obszerna przestrzeń bagnista, na której mogła się trafić jaka dobra sposobność do zapolowania; musiało się tam bowiem roić od wodnego ptactwa.

Potrzeba było liczyć ośm do dziewięciu mil drogi tam i tyleż napowrót, dzień więc byłby dobrze użyty. Ponieważ zaś szło także o zbadanie nieznanej cząstki wyspy, cała więc osada miała wziąć w tej wyprawie udział; 5. lipca tedy o szóstej rano, gdy ledwie zaświtało, Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, zbrojni w oszczepy, szable, łuki i strzały i zaopatrzeni w wystarczające zapasy żywności, opuścili Pałac Granitowy, poprzedzani przez Topa, wyskakującego przed nimi wesoło.

Wybrano najkrótszą drogę a tą było przejść Dziękczynną po lodach, które ją wtedy zapełniały.

— Jednakże — zauważył słusznie korespondent — sposób ten nie może zastąpić porządnego mostu!

I zbudowanie „porządnego“ mostu zostało zapisane na liście prac przyszłych.

Pierwszy to raz osadnicy postawili nogę na prawym brzegu Dziękczynnej i zapędzili się pomiędzy owe wielkie i okazałe szyszkowce, naówczas pokryte śniegiem.

Nie uszli jeszcze mili, gdy nagle z gęstych zarośli wyprysnęła cała rodzina jakichś czworonogów widocznie tam zamieszkała a popchnięta do ucieczki ujadaniem Topa.

— Ah!... powiedziałby kto, że to lisy! zawołał Harbert, widząc całą gromadę umykającą co tchu.

I były to lisy w istocie, ale lisy wielkiego wzrostu, wydające ze siebie coś na kształt szczekania, które samego Topa wprawiło w taki podziw, iż przystanął w pogoni i tym sposobem dał czas zniknąć tym chyżym zwierzętom. Pies miał prawo zadziwić się, ponieważ nie znał historji naturalnej. Tymczasem przez to szczekanie, lisy te, siwo rudawe z czarnemi ogonami a białą kitką na końcu — zdradziły swoje pochodzenie. Harbert dał im bez wahania właściwe ich nazwisko „kulpesy“. Trafiają się one w Chili na Malouinach, oraz we wszystkich okolicach Ameryki, przeciętych trzydziestym i czterdziestym równoleżnikiem. Harbert żałował bardzo, że Top nie mógł pochwycić jednego z tych mięsożernych.

— A dają się one jeść?—zapytał Pencroff, zapatrujący się zawsze tylko z pewnego stanowiska specjalnego na wszystkich przedstawicieli fauny na wyspie.

— Nie — odrzekł Harbert — ale zoologowie nie rozpoznali jeszcze, czy źrenica tych lisów dzienną jest, lub nocną — i czy nie należałoby ich pomieścić w rzędzie gatunku właściwego psa.

Cyrus Smith nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, słysząc tę uwagę młodego chłopca, dowodzącą poważnego umysłu. Co zaś do marynarza, od chwili kiedy tych lisów nie można było pomieścić w rzędzie rzeczy jadalnych, nic go nie obchodziły. W każdym razie jednak — zauważył — że gdy chów drobiu zaprowadzonym już zostanie w Granitowym Pałacu, dobrze byłoby zabezpieczyć się przeciwko możliwym odwiedzinom tych rabusiów na czterech łapach. Nikt z towarzystwa nie odmówił tej uwadze słuszności.

Na skręcie osadnicy ujrzeli przed sobą długi pas wybrzeża, zlewanego przez obszerne morze. Była wówczas 8 rano. Niebo było bardzo czyste, jak to się zdarza przy silnych i długotrwałych mrozach, ale rozgrzani pochodem, Cyrus Smith i jego towarzysze, nie uczuwali zbyt żywo uszczypnięć ostrego powietrza. Zresztą, nie powiewał najmniejszy wiatr, co o wiele czyni znośniejszem silne zniżenie temperatury. Słońce błyszczące ale bez wpływu ogrzewającego, wychodziło właśnie z oceanu i olbrzymi jego krąg kołysał się na widnokręgu. Morze przedstawiało spokojne i błękitne zwierciadło, jak w zatoce jakiejś morza Śródziemnego, przy czystem niebie. Przylądek „Ostrego szponu“ zakrzywiony w kształt jataganu, odcinał się wyraziście, w odległości około czterech mil ku południo-wschodowi. Na lewo, krawędź bagniska raptownie się opierała o małą wyniosłość, którą promienie słoneczne stroiły w tej chwili właśnie w ognistą smugę. Zaiste, w tej części zatoki Stanów Zjednoczonych, gdzie nie było najmniejszej zasłony od strony morza, okręty kołatane wichrami, nie byłyby znalazły najmniejszego schronienia. Czuło się, po spokojności morza, którego fal żadne podwodne wzniesienie nie zamącało, po jednostajnym kolorze wód, którego nie plamił żaden odcień żółtawy, po nieobecności wreszcie jakiejkolwiek bądź rafy, że wybrzeże to jest urwiste i że Ocean pokrywa w tem miejscu głębokie otchłanie.

W tyle, na zachodzie, rozwijały się, ale w odległości czterech mil — pierwsze linje drzew lasu....

Możnaby było sądzić, że się jest, na spustoszonem wybrzeżu jakiejś wyspy z okolic podbiegunowych, pokrytem lodami. Rozpalono ogień z chrustu i suchych zielsk morskich i Nab przygotował przy nim śniadanie z zimnego mięsiwa, do którego dodał kilka szklanek herbaty oswegskiej. Jedząc, rozglądali się wszyscy. Ta część wyspy Lincolna była w istocie bezpłodna i stała w zupełnej sprzeczności ze stroną zachodnią.

Spostrzeżenie to wywołało uwagę korespondenta, że gdyby przypadek rzucił ich był najprzód na tę część wybrzeża, musieliby byli nabrać opłakanego pojęcia o swojej przyszłej siedzibie.

— Zdaje mi się, że nie moglibyśmy byli tędy dostać się na wyspę; morze bowiem tutaj głębokie i nie dałoby nam było ani jednej skały na schronienie. Przed Granitowym Pałacem, były przynajmniej ławice i wysepka, które pomnażały możebność ocalenia. Ale tutaj — nic — prócz przepaści!

— Dosyć osobliwą jest rzeczą — zauważył Gedeon Spilett — że wyspa ta stosunkowo mała, — przedstawia grunt tak urozmaicony. A ta rozmaitość zewnętrznego pozoru logicznie bywa tylko właściwością lądów stałych i to pewnego obszaru. Możnaby powiedzieć prawdziwie, że część zachodnią wyspy Lincolna, tak bogatą i żyzną, skrapiają ciepłe wody zatoki Meksykańskiej, a jej wybrzeża północne i południowo wschodnie rozciągają się nad rodzajem morza arktycznego.

— Masz pan słuszność, kochany panie Spilett, — odrzekł Cyrus Smith — i ja zrobiłem tę samą uwagę. Ta wyspa, tak w formie swojej, jak i w przyrodzie wydaje mi się dziwną. Powiedziećby można, że to streszczenie wszelkich kształtów zewnętrznych, jakie przedstawia ląd stały i nie zdziwiłbym się, dowiedziawszy się, że była kiedyś stałym lądem...

— Co! stały ląd w pośrodku Oceanu Spokojnego! — wykrzyknął Pencroff.

— Dla czegóżby nie? odparł Cyrus Smith. Czemużby Australja, Nowa Irlandja, to wszystko, co geografowie angielscy nazywają Australazją, w połączeniu z archipelagami Oceanu Spokoj-

nego, nie mogło było niegdyś stanowić szóstej części świata, równie ważnej jak Europa lub Azja, jak Afryka, lub obie Ameryki? Umysł mój bynajmniej nie broni się przypuszczeniu, że wszystkie te wyspy wyłonione z Oceanu, są to tylko szczyty lądu, obecnie pochłoniętego, ale który górował nad wodami w epokach przedhistorycznych.

— Takiego, jak niegdyś Atlantyda — wtrącił Harbert.

— Tak jest, moje dziecko — jeżeli tylko ona rzeczywiście istniała.

— I wyspa Lincolna miałaby stanowić cząstkę tego lądu? — spytał Pencroff.

— To możebne — odparł Cyrus Smith — i tym sposobem wyjaśniłaby się dostatecznie ta różnorodność produkcji, widniejąca na jej powierzchni.

— I znaczna ilość zwierząt, które ją jeszcze zamieszkują, dodał Harbert.

— Tak jest, moje dziecko, — odrzekł inżynier — dostarczasz mi nowego argumentu na poparcie mego twierdzenia. Pewną jest rzeczą, sądząc z tego, cośmy widzieli — że zwierzęta licznie się znajdują na tej wyspie i co jeszcze osobliwsza, że gatunki ich są nadzwyczaj rozmaite. Jakaś przyczyna tego być musi, a wedle mnie ta, że wyspa Lincolna mogła być niegdyś częścią jakiegoś obszernego kontynentu, który powoli zniżył się pod poziom Oceanu Spokojnego.

— A więc pewnego pięknego dnia — rzekł Pencroff, nie zdający się być jeszcze zupełnie przekonanym — to, co pozostało z owego starego kontynentu, może zniknąć z kolei i nie będzie już nic pomiędzy Ameryką i Azją.

— Owszem — odparł Cyrus Smith — będą nowe lądy stałe, nad których zbudowaniem miljardy miljardów zwierzątecek pracują w tej chwili.

— A któż to są ci mularze? — zapytał Pencroff.

— Wymoczki korala,—odrzekł Cyrus Smith. One to utworzyły nieustanną pracą wyspę Clermont-Tonnere, i inne niezliczone wyspy koralowe, rozrzucone po Oceanie Spokojnym. Potrzeba czterdzieści siedem milj. tych wymoczków na jeden gran*) ciężaru, a jednakże z soli morskich które pochłaniają i z cząsteczek stałych wody, które w siebie zamieniają, te zwierzątecka produkują wapień a ten wapień tworzy niezmierne budowy podmorskie, których siła i trwałość wyrównują budowom granitowym. Niegdyś, w pierwszych epokach stworzenia, przyroda, używając ognia, wydała ziemie przez podniesienie; teraz zaś przeznacza zwierzęta mikroskopijne do zastąpienia tego czynnika, którego potęga dynamiczna wewnątrz globu, widocznie się zmniejszyła — czego dowodem wielka liczba wulkanów wygasłych już obecnie na powierzchni ziemi. I wierzę w to że w następstwie wieków po wiekach i wymoczków po wymoczkach, ten Ocean Spokojny może się zmienić pewnego dnia w obszerny ląd stały, który nowe generacje zamieszkają i ucywilizują z kolei.

— O, długo to potrwa! — rzekł Pencroff.

— Natura ma czas dla siebie — odparł inżynier.

— Ale na cóż jeszcze nowych lądów?—spytał Harbert. Zdaje mi się, że obecna rozciągłość okolic zamieszkałych wystarcza dla ludzkości. A natura nic bezużytecznego nie czyni.

*) Gran waży $0_{,07}$ gramu.

— Istotnie, — nic bezużytecznego, — odrzekł inżynier — ale jest przyczyna, którą można wytłumaczyć konieczność utworzenia na przyszłość nowych lądów i to właśnie w tym pasie tropikalnym, zajętym przez wyspy koralowe. Przynajmniej mnie to tłumaczenie przekonywa.

— Słuchamy pana, panie Cyrus — rzekł Harbert.

— Oto moja myśl: Uczeni przyjmują ogólnie, że pewnego dnia nasza kula ziemska skończy swoje istnienie, albo raczej, że życie roślinne i zwierzęce na niej przestanie być możliwem, w skutek oziębienia natężonego, któremu podlegnie. Nie zgadzają się tylko co do przyczyny tego oziębienia. Jedni myślą, że wyniknie ono ze zniżenia temperatury, któremu ulegnie słońce po miljonach lat, — inni, że z wygaśnięcia stopniowego wewnętrznych ogni naszego globu, które mają nań wpływ dosadniejszy, aniżeli ogólnie się przypuszcza. Co do mnie, jestem za tą ostatnią hypotezą, opierając się na tym fakcie, że księżyc jest istotnie gwiazdą wyziębioną, która przestała być mieszkalną, jakkolwiek słońce nie przestaje wylewać na jej powierzchnię tejże samej ilości ciepła. Jeżeli więc księżyc wychłódł, to dla tego iż te ognie wewnętrzne, którym jak i inne gwiazdy świata planetarnego winien swój początek— kompletnie wygasły. Wreszcie z tej czy owej przyczyny, kula nasza zastygnie pewnego dnia, ale zastygnięcie to przyjdzie powoli. Cóż się wówczas stanie? Oto pasy umiarkowane, w epoce mniej lub więcej oddalonej, będą tyle mieszkalnemi, ile obecnie okolice podbiegunowe. A wtedy zjednoczenia ludzi i gromady zwierząt odpłyną ku szerokościom bardziej bezpośrednio poddanym wpływowi słonecznemu. Niezmierna emigracja się dopełni. Europa, Azja środkowa, Ameryka północna, opuszczone zostaną powoli, tak jak Australja i części niskie Ameryki południowej. Wegetacja pójdzie w ślad za emigracją ludzką. Flora cofnie się ku równikowi razem z fauną. Środkowe części Ameryki południowej i Afryki staną się lądami zamieszkanemi przeważnie. Japończycy i Samojedzi odnajdą warunki klimatyczne morza polarnego na wybrzeżach morza Śródziemnego. Kto nam zaręczy, że w tej epoce, okolice równikowe nie będą za szczupłe na pomieszczenie i wyżywienie całej ludności ziemi? Otóż, dla czegóżby opatrzna natura, chcąc przysposobić schronienie dla emigracji roślinnej i zwierzęcej, nie miała rzucić już dzisiaj pod równikiem fundamentów nowego lądu stałego i powierzyć wymoczkom jego budowy? Nieraz rozważałem te rzeczy, przyjaciele moi — i wierzę najpoważniej, że powierzchowność ziemi naszej zmieni się pewnego dnia w zupełności, że w skutek podwyższenia się nowych kontynentów, morza pokryją dawne i że, w wiekach przyszłych, Kolumbowie wybiorą się na odkrycie wysp Chimborago, Himalaya i Góry Białej — szczątków Ameryki, Azji i Europy — pochłoniętych przez fale morskie. Potem wreszcie i te nowe lądy staną się niemieszkalnemi; ciepło z nich ucieknie, jak ciepło ciała, które dusza opuściła i życie zniknie, jeżeli nie ostatecznie z globu naszego, to co najmniej chwilowo. A może być, że wtedy kula nasza odpocznie sobie i przetworzy się w ciało śmierci, ażeby zmartwychwstać kiedyś w warunkach wyższych! Ale to wszystko, przyjaciele moi jest tajemnicą Twórcy wszech rzeczy, a zpowodu pracy wymoczków dałem się pociągnąć może zadaleko w rozpatrywaniu sekretów przyszłości.

— Mój drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett — te teorje są dla mnie proroctwami i spełnią się niezawodnie.

— To tajemnica boża — rzekł inżynier.

— Wszystko to dobrze i pięknie — odezwał się Pencroff, słuchający dotąd całemi uszyma — ale możesz-że mi powiedzieć, panie Cyrus, czy wyspa Lincolna zbudowana była także przez te pańskie wymoczki?

— Nie — odrzekł Cyrus Smith — ona ma początek czysto wulkaniczny.

— A więc zniknie pewnego dnia?

— Bardzo być może...

— Spodziewam się, że nas już tu nie będzie.

— O nie, uspokój się Pencroffie, nie będzie nas już tutaj, nie mamy bowiem najmniejszej ochoty tu umrzeć i niewątpliwie znajdziemy w końcu środek jakiś wydobycia się z tego miejsca.

— A tymczasem — wtrącił Gedeon Spilett — usadówmy się, jakby na wieczność. Nie należy nigdy nic robić w połowie.

Na tem skończyła się rozmowa, a jednocześnie z nią i śniadanie. Zabrali się więc osadnicy na nowo do badania okolicy i wkrótce doszli do punktu, od którego rozpoczynała się przestrzeń bagnista. Były to rzeczywiście błota, których rozległość aż do owego zaokrąglonego wybrzeża, zamykającego wyspę na południo-wschód, mogła wynosić dwadzieścia mil kwadratowych. Grunt składał się z mułu gliniasto-krzemiennego, pomięszanego z mnóstwem szczątków roślinnych. Pokrywały go, jak gruby kobierzec, zielenice, sitowie, tataraki i rozrzucone tu i owdzie kępy ziół. Kilka kałuż zamarzniętych błyszczało w rozmaitych punktach, odbijając promienie słoneczne. Ani deszcze, ani jakabądź rzeka wzdęta przez nagły przybór wód nie mogła utworzyć tych zbiorników. Dla tego należało naturalnie wnosić, iż bagnisko to podsycała woda sącząca się z ziemi—i tak też było w istocie. Można się nawet było obawiać, ażeby w czasie upałów powietrze nie przejęło się miazmami, rodzącemi zaraźliwe gorączki.

Po nad tem zielskiem wodnem i nad powierzchnią tych wód stojących ulatywał cały rój ptaków. Myśliwy nie byłby tu stracił ani jednego strzału na marne. Dzikie kaczki, kurki, cyranki, krzyki żyły tu gromadnie i nie zdradzając najmniejszej obawy, pozwalały się z łatwością podejść. Jeden strzał z palnej broni byłby niewątpliwie położył z kilka tuzinów tego ptactwa, tak zbite były jego gromady. Trzeba jednak było zadowolić się wypuszczeniem na nie strzał. Rezultat ztąd, rozumie się, był mniejszy, ale cicha strzała miała tę wyższość, że nie przerażała ptactwa, które wystrzał z broni palnej byłby rozprószył po wszystkich zakątkach bagniska. Strzelcy poprzestali tedy na ten raz na tuzinie kaczek białych, z przepaską barwy cynamonowej, z głową zieloną, skrzydłem czarnem, białem i rudawem i spłaszczonym dziobem. Harbert poznał w nich „tadorny.“ Top przyczynił się znacznie do schwytania tego ptactwa, którego imię nadano tej bagnistej części wyspy. Osadnicy znaleźli więc tutaj obfity zapas zwierzyny wodnej, na przyszłość. W danej chwili, pozostawało tylko wyzyskiwać ten żywy skład odpowiednio, a przytem prawdopodobnem było, że wiele gatunków tego ptactwa, dałoby się, jeżeli już nie całkiem przyswoić, to przynajmniej zaaklimatyzować

w okolicach jeziora, gdzie znalazłyby się tuż pod ręką konsumentów.

Około piątej wieczorem Cyrus Smith i jego towarzysze wybrali się w powrotną drogę do swego mieszkania i przebywszy „błota Tadornów“ przeszli Dziękczynną po moście z lodów.

O ósmej wieczorem znajdowali się już razem w Pałacu Granitowym. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

O wydaniach zbiorowych i najnowszej edycji pism Zygmunta Krasińskiego, kilka słów przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(*Dokończenie*).

Czytająca społeczność oczekiwała od chwili pojawienia się „Wyjątków z listów Zygmunta Krasińskiego“ i oczekuje dotąd zupełnego zbioru tych listów. Edycja lwowska nadziei tych nie ziściła; korespondencji Bezimiennego Poety w niej nie masz..... Hrabia Stan. Tarnowski tłumaczy, że na listy Krasińskiego czas drukowania jeszcze nie przyszedł. Pojmujemy dobrze trudności podobnego przedsięwzięcia. Jakkolwiek Gaszyński jedynie ze względów na stosunki nasze publiczne mianej pod ręką korespondencji w całości ogłaszać się nie poważył, mogą być przecież i istnieją zapewne inne jeszcze przeszkody. Listy te są prywatną własnością osób, do których były pisane i zawierać mogą nie tylko takie rzeczy, które będą już teraz pożądane czytającej publiczności, ale i takie, które ze względu na żyjących a interesowanych nie kwalifikują się jeszcze do publikowania. Nie zapominajmy, że jakiejkolwiekbądź treści, są to zawsze zwierzenia prywatne.

Chociaż zatem na korespondencję Krasińskiego, mimo że tak bardzo upragnioną, czas jakiś jeszcze zaczekać wypadnie, nie możemy przecież nie uznać potrzeby d o k ł a d n e g o ż y c i o r y s u w i e s z c z a. Hr. Tarnowski we wspomnianej już kilka razy przedmowie, skreślonej wybornie ze znanego już zkąd inąd stanowiska i będącej w każdym razie ozdobą tego wydania, z listów Zygmunta i jego przyjaciół wydobył kilka szczegółów nowych, wyjaśniających bądź to osobiste stosunki poety, bądź rzucających właściwsze światło na niektóre jego utwory, między innemi np. na znaczenie „Nocy letniej,“ w której dotąd pospolicie upatrywano tendencję polityczną. Oto, co pisze w tej sprawie: „Powiadają wiarogodni świadkowie: Nie szukaj w „Nocy letniej“ allegorji, bierz ją za prostą powieść. Natchnął ją poecie widok kilku młodych Polek wydanych za mąż za cudzoziemców, a wydanych nie bez rozkazu lub nawet przymusu rodziców. Pomiędzy rokiem 1830 a 40 zaszło podobnych takich wypadków kilka. Krasiński uczuł żywo, ile cierpieć musiała taka młoda dziewczyna, skazana na zmianę ojczyzny, na ślub z człowiekiem, którego Bóg nie był jej Bogiem, ani ziemia jej ziemią; skazana bez swojej winy na wstyd przed swoimi. Oto tajemnica Nocy letniej: oto dziewczyna wleczona do ołtarza jak Antygona na śmierć, obcy książę, który ją zaślubia, jego pan, król południowy, który się cieszy, że jego poddany zagarnął obszerne włości i że ród odwieczny i potężny wygasł. Reszta zaś, ten młodzieniec, wróg księcia i króla, który kocha dziewicę nawzajem od niej kochany, podwójne w końcu zabójstwo — to dodatek, bez którego nie byłoby powieści, to zawikłanie rzeczy bardzo zresztą usprawiedliwione i prawdopodobne, bo byłoby aż nadto naturalnem, żeby kobieta zmuszona wyrzec się swojej ojczyzny, narażoną była na tem silniejszą, tem gwałtowniejszą miłość do człowieka, który jej tę ojczyznę przypomina i jej służy. Wszystkie szczegóły zaś: śluby, uczty, zamki, ogrody i t. d. te znaczenia nie mają żadnego, to są po prostu dekoracje.“

Prócz tego podał hr. Tarnowski także dokładny rozbiór wszystkich ważniejszych kreacyj Krasińskiego i uzupełnił tym sposobem znakomitą rozprawę Juljana Klaczki „O poezji polskiej XIX wieku i Poecie Bezimiennym.“ Sam jednak przyznaje, że pozostało jeszcze to i owo do wyjaśnienia, co dopiero wtedy da się uczynić, skoro jak mówi „z pozostałych śladów, z listów Krasińskiego i z zeznań jego przyjaciół złoży się kiedyś jego żywot.“

My o taką pracę upraszamy usilnie. Przypuszczamy, że ogłoszenie nowych szczegółów z życia poety, dokładniejszych jeszcze i zupełniejszych aniżeli te które znamy, nie napotka może na trudności, któreby wynikały z przedmiotu samego, ze stosunków wieszcza, jego rodziny i przyjaciół. Na tle takich starannie zebranych i zestawionych szczegółów rozpatrzone utwory nabrałyby niezaprzeczenie jeszcze pewniejszego i jaśniejszego znaczenia. Wiemy, że Gaszyński zatrudniał się taką pracą. Oto, co czytamy w jednym z jego listów: „Piszę obszerne dzieło pod tytułem: Zygmunt Krasiński i moje z nim stosunki. Już mam ze trzydzieści arkuszy mego drobnego pisma i dociągnąłem moją pracę do r. 1849. Tej zimy (t. j. r. 1859) dziesięć ostatnich lat opiszę. Ale to dzieło choć się ukończy, nie zaraz pójdzie do druku i dopiero kiedyś po mojej śmierci, gdy będzie można bez niebezpieczeństwa odkryć całą prawdę o zmarłym, ktoś zajmie się publikacją.“ *) Byłaby to więc obszerna i zapewne wyczerpująca monografja, a tem wiarygodniejsza, że pisana piórem przyjaciela. Ze względu na dość już dawny zgon Gaszyńskiego, który nastąpił w r. 1866, godzi się ponowić tutaj zapytanie Lucyana Siemieńskiego, uczynione jeszcze w r. 1868: czy nie przyszedł już czas na ogłoszenie drukiem tego życiorysu?

Przy tej sposobności przychodzi nam na myśl sprawa monografij o celniejszych naszych pisarzach, mianowicie z uwzględnieniem bjograficznych materjałów. Historja literatury bez takich prac obejść się nie potrafi, a jakże mało ich mamy... Z większych J. M. Ossolińskiego o Stan. Orzechowskim, J. Przyborowskiego o Janie Kochanowskim, J. Bartoszewicza o Naruszewiczu, H. Schmitta o Kołłątaju, M. Balińskiego o Janie Śniadeckim, M. Dzieduszyckiego o księdzu Piotrze Skardze, ks. A. Czartoryskiego o J. U. Niemcewiczu, A. Małeckiego o Juliuszu Słowackim, L. Siemieńskiego o Fr. Morawskim — i oto już prawie wszystko. A przecież tylu jest jeszcze znakomitych pracowników na różnych polach piśmienniczego zawodu, którzy niewątpliwie zasługują na wszechstronniejsze zajęcie się swoim żywotem i swjemi pracami! Że nie będziemy wspominali o innych, nie mamy dotąd jeszcze wyczerpującego życiorysu Adama Mickiewicza, choć wiadomo nam, że czyniono u kompetentnych osób starania, aby taka praca przyszła do skutku. Ale wszystko rozbija się o jakiejś bliżej nieokreślone trudności! A tymczasem lata upływają, wiarygodni świadkowie życia i spraw takich pisarzów schodzą ze świata, materjały powoli niszczeją i przepadają, i zamiast prawdziwych szczegółów rozpowszechniają się częstokroć mity i baśnie, które później zbijać i usuwać będzie potrzeba. Cóżbyśmy dziś dali za to, gdyby ktoś bliższy czasów Vitelliona, opisał był szczegóły jego żywota?...

*) Zob. Portrety literackie L. Siemieńskiego, tom. III. str. 288.

Dokładny życiorys Krasińskiego, czy ten który napisał Gaszyński, czy jaki drugi, wypracowany na podstawie listów poety i innych wiarygodnych zeznań i dokumentów, nie może i nie powinien być, zdaje nam się, odkładany do dalekiej przyszłości.

Lecz wróćmy jeszcze do edycji, o której mówimy. Nie może być ona uważaną za z u p e ł n e wydanie utworów Zygmunta, za jaką ją zapewne i sami wydawcy nie mają — chyba że będzie rzeczą niewątpliwą, iż ani publikowane już prace, nie objęte tem wydaniem, ani żadna rękopiśmienna nie pojawią się nigdy w żadnym zbiorze. Zaletą jej krom taniości i układu chronologicznego, zwichniętego tylko w jednem miejscu, jest przedewszystkiem, jak zaręczają wydawcy, autentyczność posunięta aż do ścisłego przestrzegania pisowni autora. Trafnie także umieszczono w niej Niedokończony Poemat jako część pierwszą Nieboskiej komedji. Nowość stanowią drobniejsze utwory wierszem, drukowane już wszakże w ostatnich latach, z wyjątkiem jednego „Listku dziś suchy“ po różnych czasopismach. Wierszów tych jest dwadzieścia i trzy i zapełniają dwa arkusze druku.

STANOWISKO FILOZOFJI KAROLA LIBELTA,

i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Ciąg dalszy.)

Zasadę wyobraźni Libelta, Krupiński bardzo powierzchownie rozbiera. „Jak Trentowski wyszedł ze wstępnia „jestem“ — mówi on — i z niego wyprowadził trzy oczywiste prawdy czyli prawdoświeci: stnienie (Bóg), istnienie (świat) i istniostnienie (człowiek); tak Libelt wziął za pierwiastek słowo „wyobrażam“ mieszczące się w „jestem“ i powiedział sobie, iż ono winno nas doprowadzić do tych samych rzeczywistości ukształtowanych (co u Trentowskiego) i odkryć trzy prawdy umnicze. jako kształtoświeci, odpowiednie trzem prawdoświeciem logicznym*). W podobny sposób idzie i dalsza krytyka; ale mniejsza o nią, gdyż chodzi nam tylko o samą zasadę, czyli podstawę stanowiska wielkopolskiego filozofa.

Jak to? – więc p. Krupiński sądzi, że Libelt tak sobie ni ztąd ni zowąd wziął słówko „wyobrażam“ za pierwiastek, i powiedział sobie, że ono ma nas doprowadzić do poznania wszech rzeczy? Tak wcale nie jest; ale o tem później, a teraz jeszcze co do Struvego. „Prócz tej uwagi,

*) Tamże str. 415.

mówi on, że wyobraźnia jest niezbędnym środkiem uzewnętrznienia się myśli, nie napotykamy u Libelta żadnego głębszego, ani psychologicznego, ani logicznego rozbioru, dotyczącego udziału wyobraźni w poznaniu rzeczy. Wyobraźnia jest dla Libelta tylko estetycznem dopełnieniem myślenia, ale nie jednym z niezbędnych środków poznania; jej utwory są szatą myślenia, ale nie stanowią samodzielnej dźwigni przy dobywaniu prawdy z głębin istnienia. Dla tego też Libelt nie zajmuje się wcale rozbiorem znaczenia wyobraźni dla poznania, lecz pod tym ostatnim względem zadawala się zasadami logiki heglowskiej, a w szczególności logiki Trentowskiego*). Otóż i dr. Struve sądzi, że Libelt nie zajął się żadnym głębszym rozbiorem wyobraźni, że ta u niego nie jest jednym z niezbędnych środków poznania — a przecież wcale tak nie jest. Oto co znajdujemy w dziełach Libelta, po głębszem się nad niemi zastanowieniu.

„Filozofja i Krytyka" jest, jak powiedziałem, integralną częścią całości, jest wewnętrznie związanym wstępem z Systemem Umnictwa, a to dla tego, że ona na podstawie historyczno-krytycznej zajmuje się wyłożeniem pierwiastka, mającego być zasadą dla filozofji słowiańskiej. Libelt szeroko się rozwodzi na samym początku „Filozofji i Krytyki" (wyd. 1 od str. 1 do 94) nad niedostatecznością rozumu w poznaniu wszechrzeczy, w poznaniu osobowości Boga i nieśmiertelności duszy. Gdy badany przezeń pierwiastek filozofji niemieckiej nie doprowadził do rzeczywistego poznania, szuka innego pierwiastka dla filozofji polskiej, który po szerokich studjach psychologiczno-antropologicznych znajduje u ludu, a którym — jak wiemy — jest „wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy."

Następnie, jak widzieliśmy, kładzie Libelt to za cechę filozofji słowiańskiej, polskiej, i to za cechę kardynalną: jako pierwsze jej znamię, której jeszcze drugie jest dopełnieniem (zobacz wyżej str. 23). To też w dalszym ciągu wykładu jego filozofji, pierwiastek ten przedstawia się jako najgłówniejszy środek wszelkiego poznania.

Jeżeli teraz powiem, że wyobraźnia Libelta jest niczem innem tylko do godności filozoficznej podniesionym owym pierwiastkiem ludowym, narodowym, i poprę to własnemi słowami autora, to nie tylko zarzuty mu czynione przez Krupińskiego i Struvego upadną (inna rzecz czy się kto zgodzi na tę zasadę lub nie), ale nadto stanowisko jego dopiero teraz dokładnie wyjaśnionem zostanie. A teraz dla wyjaśnienia wyobraźni jeszcze parę uwag.

Duch, według Libelta, jest jednością trzech władz: rozumu, wyobraźni i woli. Rozum czyli myśl, jako taki, sam objawić się nie może, ale aby wyjść z siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt swój, potrzebuje wyrazu, znaku. Opierając się zaś na zasadzie, że „co czego potrzebuje tego sobie stworzyć nie może(?), ale musi wziąć zkąd inąd" — mówi Libelt — kiedy myśl wyrazu sobie stworzyć nie potrafi, musi zatem istnieć inna potęga, która to czyni, a tą jest właśnie wyobraźnia. Jest to pierwiastek kształcący, formujący, obrazujący, „twórczy w ogólności" — płodna matrzyca „wszystkich pomysłów, wszelakich pojawów," w których się myśl ducha wytłacza**). Głównym zaś charakterem wyobraźni jest utrwalenie form***). A jeżeli, dodam jeszcze, zasada Libelta „ja wyobrażam," znaczy jak sam mówi to samo co „ja tworzę"*) — to zdaje mi się aż nadto będzie jasnem, że ta wiara w ciągłe działanie dwóch światów, jest niczem innem, jak tworzeniem sobie tych pojęć, czyli ich wyobrażaniem, a więc wyobraźnią w filozoficznem pojęciu. Jej charakterem, powiedział Libelt, jest trwałość form, bo i wiara ludu tylko stałemi formami się objawia.

Wobec tego, zdaje mi się, nie podlega żadnej wątpliwości, że wyobraźnia Libelta, jest jak powiedziałem niczem innem, tylko do godności filozoficznej podniesionym owym pierwiastkiem ludowym. Ale by rzecz jeszcze pewniejszą uczynić, oto mały ustęp dla uzupełnienia.

(Dok. n.)

*) Struve: „Wykład systematyczny logiki." T. I. str. 272.

**) Libelt: „System Umnictwa" 1857. T. I. str. 2—11.

***) Libelt: tamże T. I. str. 45.

*) Libelt: tamże T. I. str. 22.

Kronika paryska.

Dnia 16. lipca 1875.

„Idylla z okolic Paryża!" Najwłaściwszy tytuł dla niniejszego listu, który mało dając wam wiadomości brukowych, miejskich, pod rubrykę tych ostatnich w żaden sposób nie może być podciągniętym.

W początkach czerwca po wielkich, na Longchamps wyścigach, po tym ostatnim podrygu zimowego sezonu, wszystko co w Paryżu siakim takim cieszy się dobrobytem, co swobodniejsze, co ściśle lokalnych, przykuwających do miejsca nie ma obowiązków, wszystko to klasyczne: „O rus, quando te auspiciam!" z mniej lub więcej szczerym wykrzyknąwszy zapałem, za mury dusznej, spieczonej, wyrusza stolicy.

Czy żeby świeżych łąk odetchnąć wonią? Czy żeby pod rozłożystych lip i klonów odpocząć cieniem? Myślicie.

Bynajmniej! Zgoła! A przynajmniej liczba tych, którzy w ten naturalny sposób letnie pojmują wakacje, nie wielka i skromną stosunkowo cyferką figuruje na statystycznych tablicach emigracji paryskiej.

Większość, przeważna większość, z wakacji onych wytwarza sobie jakby dalszy ciąg miejskiego żywota.

Jedni, najbardziej nałogowi, spieszą do Londynu, gdzie prawdziwie „fashionable" sezon, zaczyna się dopiero w Maju ciągnąc się przez czerwcowe upały. Drudzy dążą do Trouville, Aix, Vichy, Ostendy, jednem słowem wszędzie, gdzie ścisk ludzi, zgiełk, wrzawa, teatra, koncerta, bale, najbardziej im ukochane przypominać będą bulwary. Reszta nakoniec, w niezbędną podróż po malowniczej wyrusza Szwajcarji, i tam w zapylonych, do czerwoności rozgrzanych wagonach kolei, za długiemi table d'hot'ów hotelowych stołami, w ciasnych a szalenie przepłacanych apartamentach tych hotelów, zdzierana, truta i na niezliczone narażona niewygody, udaje że opływa w roskoszach (tak każe moda) a rzeczywiście pokryjomu za rychłym do Paryża wzdycha powrotem.

Wieś istna, żywot sielski, natura, bardzo mało tu mają amatorów.

I jeśli prawdę powiedzieć mamy, to inaczej być nie może.

Czego się w rzeczy samej szuka na wsi, kiedy się zwłaszcza z tak wygodnego jak Paryż rusza legowiska?

Spokoju, większej ilości drzew niż ludzi, milczenia przerywanego chyba śpiewem ptasząt i szmerem zwierciadlanej jakiej strugi.

Otóż wieś takim odpowiadająca wymaganiom, dla ogółu śmiertelników tutaj, jest i być musi Arkadją niemożliwą, w marzeniach poetów tylko egzystującą. Olbrzymia ludność Francji, szczupłe stosunkowe jej przestrzenie, drobne wskutek tego rozmiary ziemskich posiadłości, konieczność wyzyskiwania każdej niemal piędzi ziemi, nadają całemu krajowi pozór jednego wielkiego targowiska.

Domy sterczą przy domach, kominy fabryczne jeżą się na każdym skręcie drogi, tuż koło ostatnich budynków jednej wsi (!) już się następnej wznoszą zabudowania; szyby w oknach drżą od ciągłego huczenia po bruku ciężkich wozów; pociągi na bliskiej kolei żelaznej przeraźliwym co chwila odzywają się gwizdem. I toż ma być sioło, cicha przystań po szumach a łoskotach sześciomiesięcznego stołecznego żywota?

Żarty!

To tylko szereg coraz to (w miarę oddalania się od Paryża) brudniejszych i nędzniejszych miasteczek, z których żadne nie jest w stanie wynagrodzić straconych wygód wielkiego centrum ani czystością powietrza, ani ową pożądaną ciszą.

Wielki pan jakiś może jeszcze kilkohektarowym, krocie tysięcy franków kosztującym parkiem, swoje otoczywszy mieszkanie, stworzyć coś, co choć zdaleka do istotnej wsi będzie miało podobieństwo, lecz ogół, nie wyłączając zeń ludzi, względnie nawet dostatnich, zmuszony nie wielkim własnym, lub najętym, na takiej wsi kontentować się domem, wyjeżdżając doń latem z Paryża, czyni absolutnie tak, jakby się do Kołomyji lub Stanisławowa na sielskie wynosił słodycze. To jest opuszcza szerokie bulwary, starannie utrzymane przechadzki, z komfortem urządzone mieszkania, słusznie wielką nazwanej stolicy, by w jakiejś małej, brudnej, a mianem sioła ozdobionej mieścinie, tak samo wodą chrzczone spijać mleczywo, tak samo dymem węgli kamiennych przesiąkłe łykać powietrze, by jednem słowem wszystkie miasta znosząc niedostatki, żadnych onego nie znać korzyści.

Cóż dziwnego, iż wieś w takich tylko dostępna warunkach, popsutej wygódkami Paryża zgrai mieszczuchów, nie nader roskosznem zdaje się być siedliskiem i że przenoszą nad nią zakłady mineralnych zdrojowisk, gdzie administracje kąpielne pragnąc najwięcej przywabić gości, jak mogą, tak starają się o uprzyjemnienie im letniego pobytu.

Jakkolwiek namiętny wsi miłośnik, wolę miasto, wolę tylu innemi zyskami hojnie wynagrodzone zaduchę jego i gwary, niż to coś bez imienia, co ni rybą jest ni mięsem, a co tutaj w dykcjonarzu figuruje pod ogólnikowem orzeczeniem „une campagne."

A mówcie mi o naszych siołach czy to wśród ukraińskich stepów, czy w głuchych Litwy a Polesia borach. Mówcie mi raczej o bezbrzeżnych łanach, o łąkach barwnem usypanych kwieciem, o cienistych dąbrowach, należących do jednego i to jeszcze miernej fortuny szlachcica, a z których byś czasem pół tutejszego wykroił departamentu. Mówcie mi o woli, o swobodzie stron tamtych, gdzie nie masz sąsiadów przez mur graniczny o dwa kroki, śledczem mierzących was spojrzeniem i wyrzucających śmiecie na środek ulicy wprost przed wasze wrota. W gastronomiczną trącając żyłkę, mówcie mi o wybornym nabiale, żółtem jak szafran masełku, tłustej śmietanie, sielskich tam u nas rajów. Mówcie mi o spoczynku na łonie natury dziewiczej, chciwą dłonią człowieka jeszcze nie sponiewieranej, o trawach po pas i wyżej, o lipach, dębach, ba i sosnach nawet, co nie tknięte od siekiery, szerokim, tajemniczym, na kroków piętnaście w koło, rozścielają się cieniem! Mówcie mi o wsi takiej, dajcie mi taką, a na wieki, na długo przynajmniej, miejskich się dla niej wyrzeknę przepychów, a żelazną chyba gnany koniecznością wonne jej a ciche opuszczę ustronie.

Lecz gdy o niczem podobnem tutaj bez milionów im owy być nie może, więc absolutnie zgodzę się z nieboszczykiem Auber'em, który jak mówią, w ciągu długiego swego żywota, nigdy nie wychylił nosa za bramy Paryża i który lasek Buloński położony u murów miasta, zupełnie wystarczającem i najprzyjemniejszem podczas skwarów lipcowych mniemał być schronieniem.

Francuzi w ogóle mało cenią naturę. Naród ten przeważnie artystyczny najgorętszy z swych zapałów poświęca sztuce, wdzięki przyrody platonicznem, chłodnawem zbywając uznaniem. Brak ogrodu, kwiatów, zieleni, żadnym prawie dla niego nie jest brakiem. Iż miljoner tam jakiś wiejskie swe mieszkanie przystroi doborem rzadkich roślin, iż salon swój zimowy w Paryżu w kwieciste ubierze wazony, to wcale jeszcze twierdzenia naszego nie zbija ani nawet tak strasznym nie jest dlań argumentem. Miljoner uczyni to nie dla tego, by się bardzo kochał w kwiatach i w zieleni, lecz dla tej samej przyczyny dla której musi mieć bogato oprawny zbiór książek, chociaż

nie jest bibljomanem, piękną galerję obrazów, chociaż się nie urodził artystą, rasowe konie w stajni chociaż (to rzadziej) sportmeńskie nie dały mu się upodobania. Ogród, kwiaty, bibljoteka, zbytkowne meble, dzieła sztuki, piękne konie, powozy itd. to wszystko są warunki wystawnej, pańskiej egzystencji, bez których próżność bogacza obyć się nie może.

Dowodu na to, cośmy rzekli wyżej, iż w upodobaniach narodu francuskiego, natura podrzędną tylko odgrywa rolę, dowodu na to szukać raczej w sferze społeczeństwa średniej fortuny i pozycji, w kole ludzi, którzy nie mogąc jednocześnie na wszystkie zbytki ubogą łożyć kieszenią, wybierają z nich jeden, ten mianowicie, który najwięcej odpowiada ich gustom i usposobieniom.

Otóż twierdzę, iż na stu dostatniejszych (à leur aise) Francuzów, dziewięćdziesięciu przynajmniej przeniesie elegancki apartamencik, ładny zaprzęg podczas wyścigowego sezonu, możność dania przez zimę kilku tańcujących wieczorków, lożę w operze, podróż wreszcie latem do Szwajcarji, nad ładne, własne mieszkanie na wsi. A jeśli i na takowe zdobędzie się z czasem, przy kwitnących stosunkach handlowych, to urządzi je z zupełnem pokrzywdzeniem natury, na korzyść czy to zysków materjalnych, czy to miejskiego komfortu.

Wygodny dom i intratny za nim ogród warzywny, to wszystko czego potrzeba; drzew jak najmniej. Praktyczny zmysł mieszczanina powiada mu, iż te wilgoć dają a oko jego nie tęskni zgoła za widokiem świeżej gęstwiny, bo cień on znajdzie i pod parasolem. Porównajcie teraz proszę, z trzech lub czterech prętów gruntu złożoną zagrodę wieśniaczą we Francji, z odpowiednią pod względem przestrzeni, zagrodą wieśniaczą nad Renem, Elbą, Dunajem, w całej gdzie zechcecie Germanji. Wielka, a potwierdzająca słowa nasze uderzy was między niemi różnica. Zakochany w naturze chłop niemiecki, znajdzie zawsze sposób poświęcenia choć drobnej cząstki skąpo odmierzonego mu gruntu, na ogródek, na grządkę kwiatów, na cienistą gdzieś w kącie altankę. Przystroiwszy domek swój w sploty chmielu lub winogradu, stosownie do klimatu, przysłoniwszy go kilku przynajmniej większych drzew konarami, stwarza coś, co choć nieprzestronne, rzeczywiście jednak wiejskiem nazwać się może ustroniem. Zielone takie chłopków siedziby, rozłożystemi gruszami i jabłoniami obsadzone ich pola i winnice, drożyny wiodące cienistym szpalerem od wioski do wioski, sprawiają, iż całe naprzykład Niemcy południowe, Szwabją przezwane, Würtemberg, Badenja itd. oku przejeżdżającego przedstawiają się jednym wielkim ogrodem.

Chłop (fermier) francuski, ani dba o podobne bagatele. Drzewa koło domu i winnicy wycina i obcina starannie, raz dla tego, by wzrostowi jarzyn cieniem swym nie stawały na przeszkodzie, drugi raz dla tego, iż męczenników tych gałęzie na chrust porąbane i do miasta dostawione, co lat parę realizują się niebrzydkim dlań dochodem. A że dom stojąc jak na dłoni, opasany nagim tylko murem i kopcami śmiecia, wygląda brzydko i smutnie, iż kraj cały w skutek tego zyskuje pozór bardzo może zamożnego i ruchliwego, lecz brudnego i cuchnącego miasteczka, o to mu mniejsza. Natura dlań dojną jest tylko krową, on od niej nie wdzięków, lecz brzęczących domaga się korzyści.

Nad brzegiem morza, w Normandji naprzykład, w górach, na pograniczu Włoch lub Szwajcarji (Franche-Comté, Dauphiné, Sabaudja) — jednem słowem wszędzie tam, gdzie urocza lub groźna natura nie dała się i nie daje zwyciężyć praktycznemu mieszkańców gospodarstwu, wszędzie tam powyższe ogólne uwagi muszą uledz pewnym modyfikacjom. Jak bowiem wytępić zieloność nadmorskich smugów? Jak w śmietnik strome a malownicze skał przemienić urwiska? To nie przeszkadza, iż trzy czwarte Francji, iż Ile de France, Pikardja, Szampanja, Burgundja, Limousin itd. iż tak tłuste i żyzne, jak piaszczyste i jałowe jej równiny dosłownie wyżej nakreślonemu odpowiadają obrazowi. Kraj tu bogaty, dobrze uprawny, handlowny, pełen śladów przemysłu i pracy, ni słowa, lecz ani ładny, ani poetyczny, i chociaż natura w wielu punktach hojną uposażyła go dłonią, dzięki wyżej wymienionym przyczynom, na przejeżdżającym turyście, co ani kupcem nie jest ani fabrykantem, dość smutne wywiera wrażenie.

Wynagrodzi mu to sowicie Paryż, do którego przez prowincję jak przez jakąś raj otaczającą przeskakiwać trzeba pustynię. Ktoś, nie pomnę już kto, powiedział o Niemczech, iż pięknym są krajem, lecz bez stolicy, bo ani Berlin ni Wiedeń za takową uchodzić nie mogą. Ten sam aforyzm tylko w następny przekręcony sposób: „Świetna stolica bez kraju," do Francji zastosowany, nie zupełnym byłby paradoksem. Konfederacyjny układ państwowy w Niemczech, dotychczas jeszcze, chociaż znacznie osłabioną w skutek ostatnich wypadków ciągnący egzystencję, ile małych rezydencjonalnych miasteczek (Drezno, Monachjum, Weimar itd.), tyle odrębnych, właściwem sobie życiem żyjących wytworzył centrów. We Francji, rzecz naturalna, nic podobnego miejsca mieć nie mogło i nie może. We Francji przeciwnie, naprzód absolutna Burbonów monarchja, potem cezaryzm napoleoński, wszystkie żywotne soki kraju zcentralizowały w jednym Paryżu. We Francji, o wielkich nawet miastach prowincjonalnych pod względem ludności i ruchu handlowego, jak Lion, Bordeaux lub Marsylja, powiedzieć można śmiało, że nie żyją. To są tylko etapy, stacje wiodące na wielkiej narodowej drodze do Paryża. Wszystko co w nich zabłyśnie talentem, lub co po latach żmudnej pracy pokaźniejszą sobie uciuła fortunkę, wszystko to spieszy do Paryża, by tam talent ten eksploatować, by tam, choć na starość ze zdobytych korzystać dostatków. Jak naprzykład za Ludwika XIV., dworak taki jak Bussy-Rabutin za najwyższą karę poczytywał sobie rozkaz królewski opuszczenia Wersalu i zamieszkiwania świetnego swego pałacu na prowincji w Burgundji, tak dziś każdy bogatszy i wykształceńszy Francuz, czuje się pokrzywdzonym i zabitym moralnie, jeżeli go okoliczności zmuszają do opuszczenia Paryża, i do zamieszkania Lionu lub Marsylji. *L'État c'est moi*, powiadał tylko co wspomniany absolutny monarcha; *La France c'est moi* z większą jeszcze słusznością mogłaby dziś wyrzec stolica. Co ona stworzy, co powie, co wymyśli, wszystko, tak złe jak dobre, reszta kraju przyjmuje z niewolniczą uległością. Zmiana formy rządu, uznana za konieczną w jej murach, nigdzie z pewnością najlżejszej krytyki, najsłabszej nie spotka opozycji. Ostatnim takiej przejawem, było w końcu zeszłego stulecia monarchiczne powstanie na Wandei. Od tego czasu nic podobnego. Od tego czasu piętnastoletni ulicznik „Gavroche" paryski, lada kamyk dorzucający do rewolucyjnej na placach miasta barykady, większym może się na losy swej ojczyzny pochlubić wpływem, niżeli sędziwy i doświadczony obywatel, który w jej krańcowych mieszka departamentach. Widzieliśmy dwie czy trzy już dynastje upadające pod gniewem paryskiego motłochu, a nie widzieliśmy ani jednej jeszcze, którąby przyjęta i uznana naprzód przez prowincję, potem hardej narzuconą została stolicy.

Dzienniki departamentalne skarżą się czasem na wszechwładztwo naczelnego grodu, mówią o decentralizacji, wzdychają do niej, jak do rzeczy słusznej i pożądanej, lecz albo bardzo się mylimy, lub ich żądaniom i marzeniom nie przyjdzie nigdy przedzierzgnąć się w formę rzeczywistości.

Kto zna Francję, kto studjował charakter jej mieszkańców, ten silnie w nim przeważające dośrodkowe prądy, ten silną w nim uniformości, ba nawet silną jednowładztwa dostrzedz musiał potrzebę; ten w kraju tym stałe utrwalenie Rzeczpospolitej, która tylko w formie federatywnej dałaby się zastosować do czterdziestomiljonowego narodu, wielkiej a wielkiej podda wątpliwości.

Lecz spostrzegamy się (za późno nieco), iż pociągnięci treścią przedmiotu, wyjechaliśmy na pole, unikać którego skrupulatnie, szczerem naszem było i będzie postanowieniem.

Wstrzymajmy się póki pora i list niniejszy drobnemi, tu i owdzie czerpanemi, dopełnimy nowinkami.

Ze świata teatralnego:

1mo Sezon zimowy w teatrze francuskim (*La Comédie Française*), zakończył się bardzo ładnem powodzeniem czteroaktowej komedji pana Edwarda Oadol pod tytułem „Babunia" („La grand' maman").

Według zdania specjalnych krytyków tutejszych, ma to być sztuka (nie widziałem jej i nie czytałem dotychczas) nader pierwotnej, niewyszukanej treści, do żadnych odkryć psychologicznych najmniejszej nie roszcząca pretensji, pełna tylko poczciwych pomysłów, zacnych tendencji, w gładkim i wesołym wygłoszonych djalogu. Drugi to już w ostatnich czasach i w tym samym teatrze sukces („Córka Rolanda" była pierwszym) oparty nie na drażnieniu nerwów publiki, nie na przedstawianiu jej cudzołożniczych skandalów, ale na istotnej moralności. Sztuka dramatyczna może więc obejść się bez tych sprężyn (ficelles) ohydnych: trucizn, sztyletów, mordów, okrucieństw i t. d., do których nas przyzwyczaiło tylu panów pisarzy? Dramaturg może zatem na życie z jaśniejszego nieco spoglądać stanowiska i czyściejsze wytykać w niem strony, i gdzie indziej niż w archiwach śledczej policji do swoich utworów szukać natchnienia?

Pp. Bornier i Cador zdają się w dość potwierdzający sposób powyższe rozstrzygać pytania.

Czy to już przesilenie i upadek zupełny dawniejszych melodramatycznych teorji, czy tylko zastój ich chwilowy? Nie wiemy. Przyszłość to pokaże; nam tymczasem na platonicznych poprzestać trzeba życzeniach.

2do Panna Reszke, warszawianka, w roli Ofelji („Hamlet" Ambroise Thomas), debiutowała na scenie Opery tutejszej. Dzienniki oddając słuszność talentowi śpiewaczki, zarzucają jej zbytnią okrągłość tuszy, za rumiane policzki, nadto zadarty w górę nosek itd. co źle przystaje do rozpaczliwej postaci Szekspirowskiej heroiny.

Powierzchowność artysty znaczy zapewne wiele, źle zastosowana do charakteru roli: zmniejsza iluzję widzów i nieprzyjemnie trzeźwi ich z pożądanego zapału. Paryż nie jednak, według mniemania naszego, nie mogą być pod tym względem bardzo trudnymi. Od lat już kilkunastu, na scenie tejże samej Opery, pan Villaret w pierwszych tenorów, w pierwszych kochanków zatem występuje rolach. Pan Villaret, mierny artysta i bardzo niewdzięcznej powierzchowności; malutki i pękaty człowieczyna w miłośnych lansadach nieraz uczonego przypomina mi niedźwiedzia. Otóż ci tak nader dla panny Reszke surowi sędziowie, od lat piętnastu przynajmniej, pana Vilaret bez najlżejszego znoszą szemrania. Czy też dla tego, że jest Francuzem?

Ze świata książkowego.

1mo Znany pejzażysta pan Juljusz Breton, o obrazie którego „Świętojańskie sobótki", na ostatniej wystawie niedawno pochlebne posłałem wam wspomnienie, nie zadawalając się sławą tylko malarską, zamarzył i o poetycznej. Tomik wierszy jego pod tytułem: „Pola i morze" (Les champs et la mer) opuścił niedawno drukarskie prasy, nakładem wydawcy Lemerre.

Jest to zbiór krajobrazów piórem robionych. Nic więcej. Pan Breton pisze jakby malował i temiż samemi w poezji, co i w malarstwie błyszczy zaletami. Świetny tam kolorysta, tu obrazowość do wysokiego posuwa stopnia. Nic świeższego, nic ponętniejszego, nic dokładniejszego zarazem, jak niektóre u niego opisy natury.

Dla ciekawszych zacytujemy tytuły tych, które według nas najwięcej na powyższe zasługują pochwały.

„Cisza leśna" (La paix des bois), „Poranek" (Le matin) „Świętojańskie sobótki" (La Saint-Jean) tekst do tegorocznego obrazu, „Burza" (l'Orage).

2do Pan de Nervo, zięć pana de Barante, byłego francuskiego ambasadora w Petersburgu za panowania Ludwika Filipa, z rękopismów teścia w ręku jego pozostałych, wydał „Dzieje panowania cesarza Mikołaja." Dzieło to ledwie na świat wyszło, już je policja skonfiskowała i to na żądanie szwagra wydawcy, młodego de Barante, który jako główny ambasadora spadkoaierca nie przyznaje panu de Nervo praw do tego wydawnictwa.

Wynikły wskutek tego proces silnie zajmuje sfery arystokratyczne towarzystwa tutejszego.

Jeśli pan de Barante proces wygra, publiczność pożegna się z nadzieją czytania wspomnianych dziejów. Szkoda! Pan de Barante naoczny i niezależny świadek Mikołajowskich rządów, może by je sprawiedliwiej i bezstronniej osądzić potrafił.

Cóż więcej?

A! Malutkie sprostowanie.

W jednym z ostatnich numerów swych „Tydzień" mówił o nader ciekawych autografach królów

i królowych polskich (Batorego, Marji Gonzagi Marji Kazimiry) które sprzedały się w Paryżu.

Kończąc wzmiankę o nich „Tydzień“ dodał „nabyła je hrabina Małachowska.“

W tem właśnie niedokładność.

Wzmiankowane autografy stały się własnością hrabinej Mniszech. Jako pośredniczący w kupnie z najlepszego o tem wiem źródła. A teraz dotarłszy do kresu, uniżonym kończę ukłonem.

J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

Les Promenades de Paris, par A. Alphand, Rothschild, Paris — 1875.

Nakładowy handel Rotszylda, dokonał niemałej rzeczy wydając „Przechadzki po Paryżu“. Jest to dzieło wspaniałe, w zupełnem tego słowa znaczeniu. Druk i papier znakomite, a pięćset ilustracji: staloryty, drzeworyty i chromolitografje zdobią tekst ciekawy. Że każda z tych ilustracji wypadła jak najlepiej, o tem nawet mówić nie potrzebujemy. Przedstawiają one najpiękniejsze widoki Paryża począwszy od Pól Elizejskich, a skończywszy na placu Louvois. Alphand. ogrodowy architekt miasta Paryża, spisał treść, w której znajduje się także wierny obraz ogrodów w Azji, Egipcie, Grecji, Rzymie, w wiekach średnich i epoce odrodzenia. Książka niniejsza ma przeto wartość: jako dzieło sztuki i praca historyczna.

— Nouvelle géographie universelle, par Elisée Reclus — Hachette — Paris — 1875.

Nowa geografja powszechna p. Reclus, jest dziś najważniejszem zjawiskiem w paryskim świecie księgarskim. Dom Hachetta ogłasza ją zeszytami, a całość będzie zawierała nie mniej jak 2000 map w tekscie. Nie bez podstawy zarzucano dotąd Francuzom, że geografja była u nich nauką nadto zaniedbaną. Że tak było w istocie przekonaliśmy się o tem podczas wojny z r. 1870, kiedy to armja Napoleońska złożyła smutne dowody najzupełniejszej nieznajomości kraju własnego. Dziś starają się świat przekonać że i na tem polu są zdolni zdziałać coś niepospolitego. Geografja p. Reclus jest w samej rzeczy dziełem, jakiego dotąd nie było. Cała obejmie najmniej 12 tomów. Tom pierwszy, właśnie wydany. jest poświęcony Grecji, Turcji i Włochom. Drugi będzie obejmował Francję.

— Histoire de la guerre civile en Amérique, par M. le comte de Paris — vol. III et IV; Michel Levy — Paris — 1875.

Czytelnicy nasi przypomną sobie, że w pierwszym numerze naszego pisma, donieśliśmy w obszernej recenzji o pojawieniu się dwóch pierwszych tomów tego dzieła. W tomach następnych, które właśnie prasę opuściły, autor opowiada wypadki wielkiej wojny amerykańskiej od marca r. 1862 do 1go stycznia r. 1863, tj. od przeniesienia się armji Potomaca z Aleksandrji do portu Mauroe, aż do chwili, gdy proklamacja Lincolna, znosząca niewolnictwo w Stanach separatystów, padła jak grom z jasnego nieba. Najciekawiej opowiedzionym epizodem jest wojna tocząca się między okrętami. W tej walce okazał się najdobitniej heroizm ludu amerykańskiego.

— Lettres à une autre inconnue, par Pr. Mérimmé — Paris — 1875.

Dużo gadaniny, i dużo dowcipu. W całości jest dziesięć stronic zajmujących i na tem koniec. Ale ponieważ autor był ulubieńcem cesarzowej Eugenji, i nią się zajmuje, przeto w pewnych sferach książka jego jest chętnie czytana. Mimo to sława autora nic na tem nie zyskała.

Voyage artistique et pittoresque en Espagne, par M. P. L. Imbert; Plon Paris — 1875.

Literatura francuska nie miała jeszcze dzieła o Hiszpanji tak zajmującego. Nie jeden myślał, że zna Hiszpanję, przeczytawszy Gautiera, a tymczasem z jego dzieła poznał on tylko widoki i pomniki. Dla tego to pani Girardin zapytała raz Teofila Gautier: — A więc w Hiszpanji nie było Hiszpanów, gdyś pan podróżował? — Tych Hiszpanów widział z bliska p. Imbert, a towarzysz jego, Aleksander Prevost znakomicie ich wyrysował. Są tam epizody zdumiewające; między innemi odpoczynek wśród brygantów w okolicy Toledo. A ile wspomnień obudzają takie miasta jak Sewilla, Toledo, Velasquez, Goya! Całe dzieło jest zajmujące, a przedewszystkiem prawdziwe.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Spisanie dziejów Polski w popularnej formie powieściowej, jest bez zaprzeczenia pomysłem szczęśliwym, który zawdzięczamy J. I. Kraszewskiemu. Jak zapewniają, po powrocie z Vichy do Drezna, niezmordowany ten pracownik zajął się sam spisywaniem tych powieści. Z gorączkową niecierpliwością oczekujemy pojawienia się pierwszego utworu.

— Na kongres geograficzny w Paryżu, udali się z Polski: August hr. Cieszkowski jako delegat Akademji krakowskiej Dr. St. Warnke i p. Arnese jako delegat Tow. tatrzańskiego.

— W Paryżu pojawiła się wydana przez pana Karola de Mouy, literata francuskiego: „Correspondance inedite du roi Stanislas Auguste Poniatowski et de Mme Geoffrin (1674 do 1777).“ Materjału do tej korespondencji dostarczyło archiwum domowe hr. St. Poniatowskiego. P. Geoffrin, znana powszechnie w epoce przedrewolucyjnej ze swych wspaniałych salonów, opiekowała się młodziutkim podówczas Poniatowskim, w czasie pobytu jego w Paryżu. Zostawszy później królem, zaprosił Poniatowski swą opiekunkę do Warszawy, kazał dla niej urządzić pokoje i pozostawał z nią bezustannie w przyjacielskich stosunkach, których wyrazem jest ogłoszona świeżo korespondencja.

— Wspominaliśmy już kilkakrotnie o pamiętnikach Wiktora Hugo, które znakomity poeta wydać zamierza. Otóż możemy teraz dodać, że pamiętniki będą się składały z trzech części, z których pierwsza „Przed wygnaniem“ wyjdzie nie zadługo w Michała Levy. Części „Podczas wygnania“ i „Po wygnaniu“ wyjdą później. Jak widać z tego założenia, pamiętniki poety będą bardzo obszerne.

Na ostatniem zebraniu londyńskiego komitetu budowy pomnika dla Byrona postanowiono jednogłośnie przystąpić już do wykonania tego dzieła. Z nadesłanych właśnie wkładek przeznaczono 200 fnt. szterl. na marmurowe tablice. które umieszczone będą nad grobem poety, w kościele w Hucknal Torkard.

Podróże, komunikacje i odkrycia.

— Dr. E. Janota i p. Łucjan Tatomir wyjechali w celach naukowych w Tatry i północne okolice Węgier. Historja i przyrodoznawstwo, oto pola na których będą pracowali.

— Czterej studenci uniwersytetu warszawskiego zwidzili tego lata pieszo mniej znane okolice Kongresówki. Jeden badał statystykę, drugi zbierał wiadomości historyczne, trzeci zajmował się gospodarstwem a czwarty przyrodoznawstwem. Jakby to pięknie było, gdyby młodzież uniwersytetów galicyjskich poszła w ślady warszawskich swoich kolegów! Korzyści dla kraju byłyby pod każdym względem nieobliczone.

— Docent botaniki przy uniwersytecie Jagiellońskim Dr. Reman, wyjechał w celach naukowych do Afryki, i d. 29. maja r. b. stanął w Cape Town, na Przylądku Dobrej Nadziei, gdzie przepędzi zimę, poczem uda się do zatoki Mosel, do kraju Algod i do wolnej Krafrerji. Dr. Reman zwidził dawniej stepy południowej Rosji, wybrzeża Czarnego morza, i góry Kaukaskie.

— W Nowym Jorku utworzyło się osobne towarzystwo, które postanowiło wszechstronnie zbadać Palestynę. Prezydentem jest punkownik Lane a kierownikiem naukowym, znakomity orjentalista. profesór Sellak. — Badacze spędzą w Palestynie całe dwa lata.

— Anglicy przygotowują wielką wyprawę, dla zwidzenia okolic, które przebiegł znany badacz Livingstone. Zamiarem podróżników jest przedewszystkiem zwidzenie jeziora Nyanza. W tym celu zbudowano okręt, długości 17 metrów a szerokości 3 metry, który może udźwignąć ciężar 15.000 kilogramów. Okręt na barkach 400 murzynów, najętych w Zanzibar będzie przeniesiony aż nad brzeg jeziora i dopiero tam złożony.

— W Berlinie zawiązało się niemiecko-abisyńskie stowarzyszenie z celem utworzenia na wschodniem wybrzeżu Afryki, w południowej części Abisynji, w prowincji Choa, stałego siedliska, z którego wysyłane być mają wszystkie handlowe i naukowe wyprawy do niezbadanych jeszcze okolic Afryki.

— Z Egiptu donoszą, że i prowincja Wadaï poddała się już pod zwierzchnictwo wice-króla. Władzca tego kraiku sam pragnął tego stosunku z Kediwem. Jeżeli się ta wiadomość potwierdzi, to badania podróżników wejdą w nową fazę, przez to bowiem poddanie się Wadai w zależność od Egiptu, otwartą zostanie dla podróżników cała przestrzeń, dotychczas największe niebezpieczeństwa dla nich przedstawiająca.

— Od d. 1. sierpnia r. b. dozwolono w całej monarchji austrjackiej i w stosunkach z zagranicą wysyłania telegramów szyfrowanych, t. j. w liczbach lub głoskach, kiótych znaczenie wiadomem jest tylko osobom interesowanym.

— Jest projekt nowej drogi żelaznej z Romen do Kremienczuga w kierunku tak zwanego „Szlaku czumackiego“, którym miljony pudów towarów idą z nad Donu i Krymu do Odessy, Basty i Czerniowiec.

— Na Kaukazie znaleziono złoto w piaskach miejscowości Damblud. Na 1640 kilogr. piasku znajdowało się 5 gramów złota.

— Koncesja na budowę tunelu mającego połączyć Francję z Anglią, została d. 30. z. m. zatwierdzoną przez angielską Izbę lordów.

Wykopaliska.

Z Rzymu donoszą o nowych wykopaliskach. W ogrodach Wezjusza Agoriusa Pretestatusa, które się znajdowały na miejscu dzisiejszego placu Manfredo Fanti, wydobyto trzy grubo obrobione piedestały, obok których leżały dwie statuy marmurowe, wyś. na 1.26 metra. Pierwsza przedstawia dziewczynę w lekkiej tunice, druga pasterza, odzianego skórą owczą, z jagnięciem pod pachą. Gdzieindziej znowu, w sali, która należała wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do ogrodów Mecenasa, znaleziono jedno z najpiękniejszych dzieł rzeźby. Jest to cembrowanie studni z pentelickiego marmuru w kształcie puharu, na podstawie którego przedstawiona jest oskrzydlona Chimera z gęstym włosem; — wyższy koniec ozdobiony jest delikatną płaskorzeźbą, wystawiającą uczczenie Bachusa. Całość spoczywa na rodzaju bukietu z liściastych ziół wodnych. Imię greckiego twórcy tego dzieła wypisane na podstawie.

Przemysł i gospodarstwo.

— Galicja konsumuje rocznie zapałek za 850.000 guldenów. „Przegląd ekonomiczny“ w nr. 7 udowadnia w dobrze napisanym artykule, że gdyby w Galicji wyrabiano tyle tylko zapałek, ile ich potrzebuje miejscowa ludność, zatrudniałoby się po fabrykach 1.500, a za murami fabryk 3.000 ludzi. My dodamy, że blisko miljon guldenów zostałoby także w kraju, a i to coś znaczy.

— Dochody kolei Karola Ludwika widocznie się zmniejszają, pochodzi to z konkurencji. jaką tejże kolei robią linje południowe. Od 16. do 22. lipca rb. miała ona dochodu mniej o 15.568 guld. 49 ct. aniżeli w tym samym czasie roku zeszłego.

— Produkcja i sprzedaż soli w Galicji widocznie się zwiększa; w czerwcu rb. wyrobiono o 32.024 centnarów więcej jak w tym samym czasie roku ubiegłego.

— Z początkiem t. m. odbył się we Lwowie zjazd gorzelników. na którym uchwalono statut, zawiązującego się Stowarzyszenia gorzelników.

Szkolnictwo.

— W Iwoniczu odbył się w zaprzeszłą niedzielę festyn urządzony przez hrabinę Potocką dla dzieci szkółki rzeźbiarskiej z Rymanowa, którą hrabina sama założyła i starannie bardzo utrzymuje. Każde z dzieci miało chorągiewkę, do której był przyczepiony drobny przedmiot własnej jego roboty, jako ofiara na rzecz mającej się odbyć loterji fantowej. Niektóre z prac rzeźbiarskich bardzo starannie obrobione, wystawione zostały przed kursalem i tam sprzedawano je po zniżonych cenach. Odznaczał się pomiędzy innemi krzyż owinięty bluszczem i tworzący bardzo ładną kropielnicę. Oprócz tego mnóstwo ramek bardzo starannie wyrzeźbionych na oprawę do fotografji i rozmaite inne przedmioty tego rodzaju. Szkółka ta jest pięknym wzorem do naśladowania.

Nekrologja.

† Agenor hr. Gołuchowski, namiestnik Galicji, któremu prowincja nasza bardzo wiele zawdzięcza, a którego działalność dopiero historja spokojnie oceni, urodzony w r. 1812 zmarł we Lwowie d. 3 sierpnia r. b.

ROZMAITOŚCI.

— W Londynie wydarzył się fakt, z pewnością pierwszy na świecie. O podobnym może już nigdy nie usłyszymy. Oto paryska „Illustration" donosi, że w r. 1865, pewien artysta dramatyczny, nazwiskiem Hasting, był na objedzie w gronie ludzi młodych i wesołych. Między nimi znajdowało się kilku bardzo bogatych, o których w Anglji nie trudno. Objad odbywał się w jednym z pierwszych klubów Londynu. Na porządku dziennym była wtedy sprawa więzień ciemnych, które od tego czasu zostały zaprowadzone niemal we wszystkich państwach europejskich. Wiadomo jak gorąco przemawiali niektórzy członkowie parlamentu przeciw tym więzieniom, a powieściopisarz Read osnuł nawet całą powieść, w której starał się udowodnić, że ciemna cela nie jest właściwie więzieniem, ale prawdziwą torturą. Nic dziwnego, że o tym samym przedmiocie mówiono podczas objadu. Gdy wino zaczęło w głowach szumieć, artysta Hasting rzekł, że nie pojmuje owych filantropów, którzy tak namiętnie występują przeciw ciemnym więzieniom, które bynajmniej nie są tak straszne, jak się to wielu ludziom wydaje. Gdy jeden z obecnych zrobił nowy zarzut, że dla tego w ten sposób się wyraził, ponieważ nie doświadczył nigdy przyjemności siedzenia w ciemnicy, Hasting odpowiedział porywczo:— Załóż się pan ze mną, że dziesięć lat przesiedzę! — Ekscentrycznemu miljonerowi nie potrzeba było powtarzać dwa razy tej propozycji. W kilka minut zostały warunki zakładu ułożone. Hasting podjął się siedzieć dziesięć lat w celi całkiem ciemnej, za co po wyjściu miał otrzymać od miljonera 250.000 franków. Hasting rozpoczął natychmiast odsiadywać dobrowolne więzienie. Cela jego, zbudowana umyślnie w zamku lorda, miała pięć metrów długości, a trzy szerokości. Wieczną ciemność przerywało w niej tylko światło wiszącej lampy u sufitu. Więźniowi nie zbywało na niczem. Miał książki, papier, pióra i pożywienie jakiego dusza zapragnęła, które przez otwór w ścianie podawał mu zawsze niewidzialny służący. Po dziesięciu latach, d. 15 czerwca rb. wyszedł nareszcie Hasting i natychmiast otrzymał sumę wygraną — ale jak straszna zaszła w nim zmiana! Młody człowiek, który w dwudziestym szóstym roku pozwolił się zamknąć, wyszedł starcem zgrzybiałym, wyglądającym najmniej na lat sześćdziesiąt. Włosy i broda zbielały mu jak mleko, twarz koloru nieokreślonego, a mówi z największą trudnością. Dziesięcioletnie zamknięcie, zupełny brak światła i słońca odziałały nań, jak na rośliny pielęgnowane w piwnicy. Jeżeli powyższe zdarzenie jest w zupełności prawdziwe, to zaiste p. Hasting złożył dowody niepospolitego hartu duszy, którego atoli mógł użyć nierównie piękniej i korzystniej dla siebie. Dziesięcioletnia praca wytrwała byłaby mu więcej majątku przyniosła, a zdrowie byłoby na tem nic nie ucierpiało.

— Oto w jaki sposób ogłoszono w dziennikach amerykańskich małżeństwo znanego jenerała Sheridan z panną Rucker. „Jenerał Filip Sheridan, dzielny oficer kawalerji, który uniknął tyle niebezpieczeństw nie tylko na polu walki, ale i w salonach towarzystwa cywilizowanego, został nareszcie jeńcem... Został zwyciężony rozumną strategją pewnej „mamy", i włożono mu kajdany... młodości i piękności". Anons powyższy jest najprawdziwszym w świecie.

— W Kopenhadze wyszły pamiętniki o życiu artystycznem i domowem sławnego rzeźbiarza Thorwaldsena, spisane przez jego kamerdynera Wilckensa. Oto niektóre ustępy z tej książki zajmującej: „...Kiedy Thorwaldsen nie wychodził z domu, miał zwyczaj jadać zawsze objad o godzinie trzeciej z południa. Wtedy żona moja nakrywała stół w pokoju przed sofą, na której zwykle lubił siadać. Objad składał się ze zwyczajnych duńskich potraw; — najlepiej smakowała mu zupa mięsna z takiemiż kluseczkami, których zjadał od sześciu do ośmiu, tudzież sztuka mięsa z chrzanowym sosem, do tego wypijał butelkę białego, lekkiego piwa. Zabawnie było patrzeć, jak się brał do jedzenia mięsa, jak je przewracał, wykrawując kawałki, które zdawały się mu być smaczniejszemi, na deser zaś poprzestawał najczęściej na pączkach. Cieszyło mię, gdym widział, iż jadł z dobrym apetytem. Pewnego dnia objawił życzenie, aby mógł z żoną moją i ze mną wspólnie jadać, broniłem się jak mogłem, przedstawiałem że to nie uchodzi. „Co ludzie powiedzą — rzekłem — gdy się dowiedzą, iż pan radzca ze swoim sługą i żoną jego zasiada razem do stołu?" — Czy myślisz, że ja dbam o ich gadanie? — odpowiedział na to Thorwaldsen. — „Pan radzca nie potrzebuje o to dbać — dodałem — ale mnie wezmą za złe, żem przystał na pańskie życzenie." Przykro mu to było, nawet się skarżył na mnie przed radzcą stanu Thiele i przed radzcą tajnym Collin; atoli obadwaj pochwalili moje znalezienie się. Zdarzyło się, iż podczas objadu odwidzali go przyjaciele; wtedy każdego z nich zapraszał do stołu. Razu jednego przerwawszy jedzenie zawołał: —„Któż to mi te srebne sztućce darował, bo nie przypominam sobie, ażebym miał podobne?"—Zmięszałem się i w końcu rzekłem: „Ach panie radzco, to mój i żony mojej podarunek." Przypatrzywszy się cyfrom roześmiał się i powiedział: — Myślałem doprawdy, że to moja własność! — A potrzeba wiedzieć, iż Thorwaldsen nie posiadał zgoła żadnych naczyń ani przyrządów do jedzenia; postarać się o takowe nigdy mu nawet nie przyszło do głowy, dla tego też używaliśmy naszych własnych. Już to bardzo dbał, ażeby po objedzie pójść na przechadzkę, jeżeli tylko pogoda sprzyjała, — musiałem mu zawsze towarzyszyć. Z przechadzki udawał się wprost do teatru i rzadko wracał ztamtąd prosto do siebie, gdyż zazwyczaj zapraszano go na wieczory do rozmaitych domów. Z powrotem jednakże zjadał u siebie z pięć albo sześć buterszniтów przez moją żonę przyrządzonych, parę jajek, holsztyńskiego śledzia, do tego wypijał resztę piwa, jakie mu z objadu zostawało. Gdy już szedł spać, a czy to było późno lub nie (zazwyczaj kładł się do łóżka o 1 lub 2 po północy) — musiał jeszcze wypić filiżankę gorącej zupy. Kiedy mu się zdarzało iść spać przed północą, wtedy mawiał do mojej żony: — No, dzisiaj wróciliśmy do domu wcześnie, jak przystało na porządnych ludzi.—W parę lat po nadaniu Thorwaldsenowi tytułu radzcy konferencyjnego a w rok po ozdobieniu go wielkim krzyżem Dannebroga, przysłano mu awizację o zapłacenie podatku od tych godności, który wynosił do 150 talarów. Thordwalsena to zdziwiło i oburzyło zarazem. Gdy się cokolwiek uspokoił, rzekł: „Nie pojmuję, jak można odemnie wymagać pieniędzy za rzeczy, o jakie wcale nie prosiłem; nie zapłacę ani grosza." Musiałem tedy awizację oddać i powiedzieć, że wielki nasz artysta nie myśli wcale płacić. W rok niespełna, przysłano powtórnie awizację łącznie z piśmienną uwagą, że nikt nie ma prawa wyłamywać się z obowiązku opłacenia przypadającego nań podatku i w razie, jeżeli Thorwaldsen w ciągu oznaczonego czasu nie uiści do skarbu przypadającej od niego należytości, na drodze sądowej do tego zmuszonym zostanie. W chwili, kiedy to pismo nadeszło, zajęty był właśnie pracą i, ażeby się od niej nie odrywać, kazał mi takowe odczytać. Ponieważ wiedziałem o co idzie, więc końcowy ustęp przeczytałem po cichu, bo wiedziałem, że jak Thorwaldsen raz sobie co postanowił, za nic w świecie zdania już nie odmieni. Nie chcąc go tedy drażnić, udałem się po radę do pana Thiele, ten odesłał mię do tajnego radzcy Collin. Skoro wytłumaczyłem ostatniemu powód mojego przybycia, roześmiał się i rzekł: „Mój Wilckensie, od opłaty podatkowej Thorwaldsen uwolnić się nie może, a nie ma co z nim o tem mówić, bo on tego nie rozumie; zresztą postaram się o załatwienie tej sprawy." Kiedy później i w innej okoliczności spotkałem się z panem Collin, ten powiedział te słowa: „No, twój pan może już być spokojny o zapłacenie podatku od rangi i orderu, bo król wydał rozporządzenie, ażeby go uwolnić od opłaty raz na zawsze, „— Powinniśmy mieć wzgląd na tak wielkiego artystę — rzekł monarcha — stosować się do jego kaprysów i nie zapominać, jakiemi skarbami obdarza ojczyznę naszą". Jak Thorwaldsen był w stanie szybko wykonywać dzieła swoje, może służyć za przykład następujące zdarzenie. Kiedy Donner z Altony odwidził wielkiego mistrza, wtedy zapragnął on wymodelować biust przyjaciela do swego muzeum. Oczywiście ucieszył się z tego Donner lecz zarazem oświadczył, iż czas ma niezmiernie ograniczony i pojutrze musi koniecznie opuścić Kopenhagę. Ale Thorwaldsen, który od raz powziętego postanowienia nie dawał się niczem odstraszyć, przyrzekł Donnerowi w trzy godziny biust jego zrobić. Jakoż nazajutrz począł przyjaciela swego modelować, a Wilckens otrzymał rozkaz być na każde zawołanie pod ręką i nikogo do pracowni nie wpuszczać. Zapytywano mię nie raz — powiada Wilckens — wiele też Thorwaldsen potrzebował czasu na wymodelowanie portretowego popiersia? Otóż teraz miałem sposobność wyborną przekonania się o tem. Nie wybiła jeszcze 12 godzina, gdy Thorwaldsen rzekł: — No, dziękuję ci na dzisiaj. Na to odpowiada Donner: „Dobrze mój kochany, ale ja jutro wyjeżdżam". — A jedź sobie, biust już gotowy. Wilckens postara się, ażeby dziś jeszcze zdjęto z niego formę, i jeden egzemplarz na prędce z gipsu odlano. Jeżeli masz ochotę go widzieć, przyjdź jutro. — Kiedy zrobiłem Thorwaldsenowi uwagę, iż zaledwie trzy godziny czasu potrzebował na wykonanie popiersia, uśmiechnął się mówiąc: — Zbyt prędko to nie było; na zrobienie apostoła Tadeusza potrzebowałem tylko dni dziesięć, licząc w to zdjęcie formy i odlanie, a przecież była to inna zupełnie praca.—Posąg apostoła Tadeusza ozdabia teraz kościół Panny Marji w Kopenhadze. Kapelusz, który sobie Thorwaldsen z Włoch przywiózł, był już tak dalece zużyty, iż kiedy kobiety przechodziły koło niego, nie mogły powstrzymać się od śmiechu i czynienia rozmaitych uszczypliwych uwag. „Pewnego dnia, mówi Wilckens, kiedyśmy podczas pięknej pogody przez ulicę Oster przechodzili, widziałem, jak wiele dam wzruszało pogardliwie ramionami; więc wróciwszy do domu, pytam się Thorwaldsena, czy nie pozwoli mi kupić nowego dla siebie kapelusza. „A to na co, mój Wilckensie? — pyta wielce zdziwiony. — Po co mi nowy kapelusz, kiedy ten przecie jeszcze cały?" „Wszak można kupić nowy, nie czekając aż się stary rozleci" — ośmieliłem się odpowiedzieć. Zanim jednak udało mi się sprawić nowy kapelusz, potrzeba się było dobrze z Thorwaldsenem naprzeczać. W końcu kapelusznik wziął miarę i zrobił z wyższym jeszcze dnem aniżeli dawniejszy, z czego Thorwaldsen wielce był zadowolony i skoro zajaśniała piękna pogoda, brał go zawsze na spacery. Te obadwa kapelusze znajdują się w moich zbiorach osobliwości." Zupełnie tak samo postępował z obuwiem; zamiast kazać dać łatkę, gdy skóra z wierzchu pękła, Thorwaldsen czernił rażące miejsce atramentem; dopiero gdy obuwie już się tak rozlatywało, że niepodobna go było dłużej nosić, pozwalał Wilckensowi nową parę obstalować. Ale chociaż Thorwaldsen skąpił niezmiernie dla siebie, przecie dla innych nie żałował pieniędzy i okazywał się zawsze gotowym do czynów wspaniałomyślnych. Pewnego dnia przyszedł do niego prof. Kjärschon i przedstawił rysunek, podług którego miał być obstalowany obraz wartości kilkuset talarów. Na takie rzeczy Thorwaldsen z radością wydawał pieniądze, również gdy szło o przyjście jakiemu artyście z pomocą. Pewien znany pejzażysta nie mając czem zapłacić komornego, przyniósł do Thorwaldsena obraz z prośbą, ażeby mu dał za niego cokolwiek pieniędzy; Thorwaldsen bez zawahania się kupił go natychmiast. Tak samo było z pewnym malarzem widoków morskich. Przyszedł on z małym obrazkiem mówiąc, że chciałby go sprzedać, ażeby mógł się zabrać na okręt dla robienia szkiców morskich. Thorwaldsen pyta, co może obrazek kosztować? Ponieważ artysta żądał za niego 40 talarów, więc mu tę sumę wypłacił mówiąc: „Obrazek pański podoba mi się bardzo, ale pragnąłbym posiadać drugi, z tych właśnie szkiców, które pan masz zebrać w podróży morskiej." Artysta podziękował a na zapytanie jak wielkie ma być malowidło, którego sobie życzy, Thorwaldsen odpowiedział: „No, możesz mi pan zrobić w cenie od trzystu do czterystu talarów".

Odpowiedzi Redakcji.

Autora nadesłanych nam „Szkiców z prowincji" upraszamy o łaskawe i rychłe zgłoszenie się do naszej redakcji.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).